

# comœdia

pismo poświęcone sprawom  
sztuki i kultury współczesnej

z a w i e r a m. i n.:

K O N R A D G Ó R S K I  
O MARJANIE ZDZIECHOWSKIM

P I O T R Ś L E D Z I E W S K I  
ARTYZM I ESTETYCYZM

J O Z E F M A S L I Ń S K I  
DORZYNKI LITERACKIE

S E R G J U S Z P I A S E C K I  
PERŁA POLSKIEJ PÓŁNOCY

H A L I N A T U R S K A  
UCZUCIE, RODZAJ I NAROCZ

T E O D O R B U J N I C K I  
ROMANTYCZNOŚĆ

T A D E U S Z C I E S Z E W S K I  
STAWIAM NA FILM

T A D E U S Z S Z E L I G O W S K I  
SZANSE OPERY W WILNIE

C E N A 4 0 G R.  
W T E A T R Z E 3 0

R. 1: 1938

2



# comoedia

pismo poświęcone sprawom sztuki i kultury wydawane  
przy współpracy Teatru na Pohulance – wychodzi raz  
w miesiącu.

Komitet redakcyjny: **Leopold Pobóg-Kielanowski, Józef Maśliński, Stanisław Turski**

Wydawca: **Sł. Turski**

Redaktor: **J. Maśliński**

Adres redakcji i administracji

**Wilno, Tatarska 22, tel. 13-69**

Redaktor przyjmuje we środy od g. 14 do 15. Sekretarjat czynny w poniedziałki, środy i piątki od 17 do 18.

Przedpłata: rocznie zł. 4.80, półrocznie zł. 3.—. Zeszyt pojedynczy 40 gr., w Teatrze 30 gr. Wpłacać należy na konto P. K. O. nr 701.131 Sł. Turskiego.



## BAZAR PRZEMYSŁU LUDOWEGO

W WILNIE  
UL. ZAMKOWA 8

JEDYNE  
AUTENTYCZNE  
(ETNOGRAFICZNE)

PAMIĄTKI  
Z WILNA



# comedia

pismo poświęcone sprawom sztuki i kultury współczesnej  
wydawane przy współpracy Teatru na Pohulance

Rok I

Wilno, listopad 1938

Nr 2

## » Wolność ugościć «

Radosny jest fakt powrotu starej ziemi polskiej do Macierzy. Ale radość nie powinna polegać tylko na świątecznych manifestacjach. Niewątpliwie, gdzieś po gabinetach ministerjalnych odbywają się ważne narady, a przy biurkach ekonomistów powstają pożyteczne projekty. A „szary obywatel”? Czy ma poprzestać na przeczytaniu w swej gazecie wyników meczu piłki nożnej Śląsk Zaolzański contra Śląsk Górny? Cementem jedności jest świadomość narodowa, a ta zaczyna się od poznawania obyczaju, mowy i ducha ziem, gdzie serca biją zgodnie z naszymi sercami. Czytajmy więc pisarzy zaolzańskich: Powieści i nowele—Gusta wa Morcinka (*Wygrabany chodnik, Serce za tamą*), nowele i wiersze Adolfa Fierli (*Cienie i blaski, Dziwy na gróniach*), wiersze Pawła Kubisza (*Przednówek*). Z książki tego najautentyczniejszego poety Zaolzia, wydanej w czeskim jeszcze Cieszynie ub. roku, podajemy dwa fragmenty:

Wielki sóm szłoki zogónów  
Kaj sie nóm grzbiety zginały;  
Majątki grafów, barónów —  
Pognojóne naszym ciałem!

Uzda nas dzierży i wiąże,  
Łopraty rządóm krokami —  
Dzisiaj cudzy ... downij książę —  
Kiej rządzić bedym ... my ... sami?!

Trzeba wstać budzić i wołać,  
Krzywdzie porostwiyrać dwiyrze —  
Siednyć do swojigo stoła  
Po gazdowsku i nejszyrzyj...

I buchnyć we świat murczynim,  
I łokcie wygiąć w rzańnięci —  
Udusić w myślach zwątpiyni,  
Szruby duszące rozkręcić!

\*  
\*  
\*

W płómieniach trzy granice —  
W łunie gorzóm ciymności...  
Ziymia drży, hórczy, świce —  
Woło wolność ugościć.





# O MARJANIE ZDZIECHOWSKIM

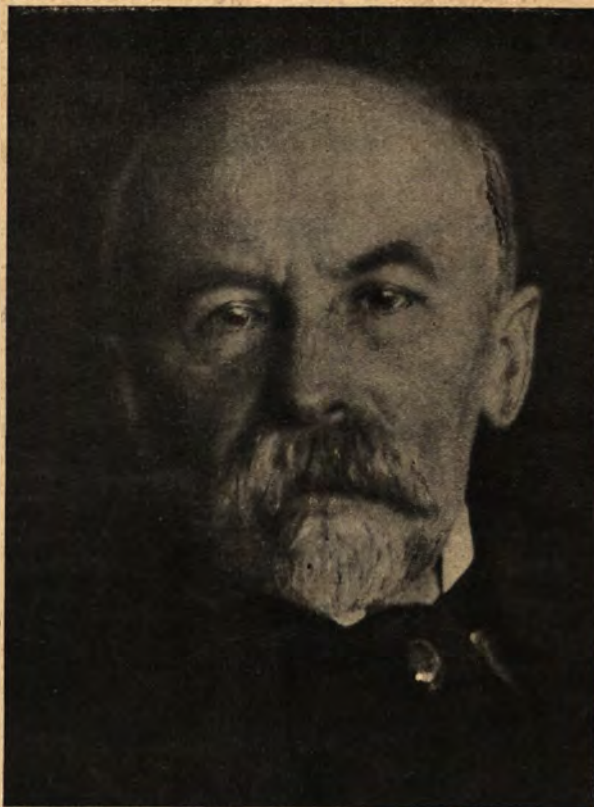
*Imię moje tak przeszło jako błyskawica  
I będzie jak dźwięk pusty tuwać przez pokolenia.*

Powyższe słowa poety przychodzić muszą zawsze na myśl, ilekroć się rozpamiętywa pośmiertne losy każdego człowieka na ziemi. Pamięć o zmarłym staje się szybko rodzajem legendy. Jeśli to był człowiek zwykły, legenda ta umiera wraz z tymi, co owego człowieka znali; jeśli to był wybitny człowiek czynu, legenda o nim staje się własnością najszerszych mas; jeśli zaś wielkość tego człowieka wyrażała się w tworzeniu wartości abstrakcyjnych, legenda jego przetrwa tylko w pamięci umysłowej elity. Ten ostatni rodzaj ziemskiej nieśmiertelności, ma to do siebie, że sam żywy człowiek zaciera się całkowicie w umyśle potomnych i staje się powoli jakimś hasłem w wielkiej encyklopedji świata, oznaczającym stworzone przezeń dzieła. Słowacki ma rację: imię takiego człowieka jest pustym dźwiękiem, co trwa przez pokolenia!

Refleksje te narzucają się ze specjalną siłą, gdy schodzi ze świata ktoś taki, jak Marjan Zdziechowski, człowiek, o którym można by to samo powiedzieć, co kiedyś wyrzeczono o Stanisławie Krzezińskim, że przeszedł przez życie okryty szatą olśniewającej białości. Zostaną po Nim Jego dzieła, które oczywiście pozwolą jeszcze raz zastosować sakramentalne *Non omnis moriar*, ale gdy chodzi o Zdziechowskiego, czujemy, że wraz z Jego osobą tracimy coś bezpowrotnie, czego nam nawet drukowane pomniki Jego myśli i ducha nie zastąpią. O każdym człowieku, który doczekał późnej starości a reprezentował za życia pewien odrębny styl własny i styl swojej epoki, można by mówić jak o Podkomorzym: „Patrzcie, patrzcie, młodzi, może ostatni, co tak poloneza wodził!” — Ale gdy schodzi do grobu indywidualność tak wyjątkowo niepospolita, tak w swej duchowej fizjonomji odrębna i niepowtarzalna, pragnęłoby się z całych sił

zatrzymać tę niknącą w oddaleniu postać i trudno jest się pogodzić z faktem, że dla wszystkich, z wyjątkiem garstki ludzi, co mieli szczęście znać Go osobiście, Marjan Zdziechowski będzie synonimem jedyńie wartości oderwanych — niezmiernie zresztą obfitych i cennych — zawartych w Jego książkowej spuściźnie.

Był to wielki uczony i wielki pisarz, którego drogi nie dla wszystkich są otwarte, którego naśladowcom — o ile się tacy znajdują — trzeba będzie przypominać, że *quod licet Jovi non licet bovi*. Mógł sobie taki Jowisz pozwalać na wiele rzeczy, które w rękach człowieka mniejszego polotu i mniejszego talentu pisarskiego z łatwością przerodzą się w karykaturę, lub ugrzęzną na mieliźnie frazesu. Bo Zdziechowski był osobistością, wyłamującą się z wszelkiego szablonu. Uczony ogromnej wiedzy, ale wcale nie typ erudyty; znakomity myśliciel, ale nie według szkolnej definicji filozofa; świetny badacz i krytyk literatury, ale nie szperacz filologiczny; religjoznawca, ale umiejący trzymać na wodzy pokusy racjonalizmu w dziedzinie religji. Jego wiedza, Jego twórczy wysiłek naukowy to były rzeczy podporządkowane najściślej drogom rozwojowym i potrzebom Jego ducha. Zdziechow-



fol. St. TurSKI

## MARJAN ZDZIECHOWSKI

ski był historykiem i krytykiem literatur europejskich, historykiem filozofji i kultury, publicystą i historjografem, ale przede wszystkim i nadewszystko był moralistą w najgłębszym znaczeniu tego słowa. I to moralistą, o którym wszyscy wiedzieli, że słowa Jego nie były czekami bez pokrycia, że tak żył, jak pisał. Dlatego też każde powiedzenie, każde wystąpienie Zdziechowskiego miało zgoła niepospolity ciężar gatunkowy na terenie tej Rzeczypospolitej, o której Mickiewicz powiedział, że:

*Pewna Rzeczpospolita jest zawsze i wszędzie,  
Chociaż państwem na ziemi nie była ni będzie.*

(Z przemówienia prof. Konrada Górskiego na Środzie Lit. z d. 19.X br. poświęconej uczczeniu M. Zdziechowskiego)



# Artyzm i Estetycyzm

(Kościół św. Anny w Wilnie, a dzwonnica przy tymże kościele, kościół po-bernardyński, a gmach wodociągów miejskich).



Piękny zakątek trzech kościołów według litografji z albumu Wilczyńskiego fot. J. Buthak

I. Podczas pewnej dyskusji w sprawie konkretnego rozwiązania plastycznego w dziedzinie nowożytnej urbanistyki użyłem takiego zwrotu: „wszelkie wywody i uroszczenia estetyczne muszą ustąpić przed wymogami artyzmu“. A więc np. filozofowanie (albowiem estetyka jest filozofją sztuki!) z oparciem się tylko o fakty klasycznej manieri w architekturze z punktu widzenia twórczości artystycznej będzie mniej lub więcej nieszczęśliwem popieraniem pseudo-klasycyzmu i stampiarstwa. *Pseudo*, t. j. że bądź w pomysle artystycznym bądź w formie wyrazowej, bądź w użyciu niewłaściwego, niecelowego materiału budowlanego mieścić się będzie fałsz estetyczny = manieryzm, reprodukcjonizm, formalizm, bezsensowność techniczna.

„Artysta“ operujący tylko estetycyzmem w swej sztuce i usiłujący za wszelką cenę być estetycznie programowy w swych dziełach jest tak samo słabym artystą bez podłoża artystycznego, jak „uczony“, który by fakty ustalone naukowo interpretował nie zgodnie z ich wagą i zakresem metodycznym, lecz z góry powziętą swoją teoryjką bez pokrycia *faktycznego*.

II. Z historii kultury artystycznej wiadomo, że XIX wiek dał światu orgję przykładów — dzieł, w których błady estetycyzm bezczelnie zapanował nad krwią tętniącą pracą twórczą, artystyczną.

Dwa potężne prądy artystyczne *klasycyzm* i *gotycyzm* w czasach romantycznych przekształciły się sentymentalnie w neo-klasycyzm i w neo-gotycyzm i w swej czystej anemicznej postaci zaczęły zachwaczać cały świat, a przedewszystkiem świat urzędowy, akademicki. Dzięki właśnie temu rektor Wszechnicy Batorowej w początkach XIX wieku przyczynił się bezpośrednio do wandalskiego zniszczenia wnętrza kościoła św. Jana.

LEON SZREDER

## WIERSZ O KORNIKU

W sztolniach gwiazd szukamy marzeń  
które są tylko odbłaskiem  
spojrzeń i muzyki dnia:  
jakże wyzwolisz świat przykutą do oczu własnych  
pgszny pożeracz trąb, snob sielankowych pejzaży  
smakosz białego pnia —

Ciemność nad nami i w nas  
zmienia ziemię w dziwaczny perski kobierzec —  
szumi śpiewnie przyjaciel mój nurt  
moje kłamstwo i kłamca  
wabi senną ochłodą, pomrokiem dalekich tam  
i trwa między nami kłamliwe przymierze  
jakby napięty kurek  
wąski strumień wiolinu  
niby szara godzina  
zmierzchu—

Miasta i pieśni i śmiech są prawdą palców  
chwytniejszych niż małpie  
równie zdatnych do kielni i tańca na strunach—  
krawędziach śpiewu,  
a jednak poniża cię świat  
który tworzysz — a już nie potrafisz ujarzmić.  
Wiesz: z dnia na dzień wzrasta nad tobą bóstwo  
— złośliwy szyderca i szchwacz  
i unoszą rzeki nieprzyjazne:  
nafta, dynamit i złoto i wiolinowy klucz  
w niepokój gniewny —  
w ośleple tunele snów —  
na milczące zalewy przerażeń



W takiej atmosferze artyści architekci zaczęli wymierać bezpotomnie, a estetyzujący pseudo-klasycy i pseudo-gotyccy „inżynierowie” — zwłaszcza w II-jej połowie wieku — zaczęli *zastylać*, zaśmiecać świat. Publiczność zamiast domagać się arcyzmu, arcyzmu i jeszcze raz arcyzmu, tj. domagać się oryginalności pomysłu, ciekawych form, użycia stosownego materiału budowlanego, chwycenia istotnych potrzeb życia w żelazne karby kształtu i przestrzeni, wołała tylko głośno: stylu, stylu, stylu: doryckiego, jońskiego, korynckiego, greckiego, rzymskiego, gotyckiego. W myśl tego usłudzy businessmani - akademicy zaczęli urzeczywistniać bez żadnej żenady to, co sobie wykombinowali Palladio, Vigoula, co sobie wymyśleli Winckelmann i Violet - le Duc, lub to, co ściągnęli, splagiatowali z niezbyt wiernych reprodukcji graficznych, fotografii, dzieł sztuki, które im lub ich mecenasom wpadły do rąk.

Dziedzina sztuki kościelnej również nie została wolna od tego estetycznego morowego powietrza. Napróżno modlono się w kościołach o prawdę, dobro, piękno — wiecznie szczere, uczciwe, wiecznie młode. Zaczęły się zjawiać — jak grzyby po deszczu — przedewszystkiem „gotyki”, które tyle miały w sobie kultury artystycznej, twórczej, gotyckiej co w pięści jest z kształtu i formy pięknego nosa Apolla Belwederskiego. *Votiv Kirche* w Wiedniu — to jeszcze arcydzieło tego rodzaju pseudo-kultury artystycznej, gorszy jest już kościół św. Florjana na Pradze w Warszawie, jeszcze gorszy kościół gotycki w Białymstoku, po trzykroć gorsze liczne pseudo-gotyccyzy na Wileńszczyźnie.

III. Kościółek św. Anny przy kościele po-bernardyńskim w Wilnie ze względu na swoją sytuację, zespół sąsiedzki i spłot form gotyckich (już neo-gotyckich XVI-wiecznych, jakby to określił R. Hamann), jest unikatem nie tylko w Polsce, lecz i na całym świecie. A zatem należało by z nim pod każdym względem obchodzić się subtelnie i z wielkim wyczuciem artystycznym. Tymczasem inżynierowie drogowcy i inżynierowie budowniczowie o pokroju duszy pseudo-twórczej XIX-wiecznej wszystko zrobili aby należyty czar tego zabytku do cna zniszczyć.

A więc przedewszystkiem pod względem urbanistycznym przeprowadzono ulicę przed samą fasadą przez cmentarzyk, na którym ten kościółek pierwotnie stał. Następnie zburzywszy jedną neo-klasyczną *wieżę*, postawiono drugą pseudo-gotycką. Wreszcie wpakowano w dziedzińczyk przed kościołem po-bernardyńskim — jak śliwkę w nos — wstrętne pseudo-gotyckie arkadowe *od-grodenie*.

Nie będą snuć pomysłów w jaki sposób należało by poprawić urbanistycznie usytuowanie św. Anny. Dom Nr. 7 przed kościołem św. Anny wlaź — jak

kot do śmietany — i psuje swobodną przestrzeń jaka zalegać powinna między kościołem św. Anny, a domami *vis à vis* stojącymi na linii dawnych murów obronnych miejskich. Gdyby Wilno miało naprawdę ambicje stołeczne, umiałoby sobie z trudnościami urbanistycznymi tam poradzić tak, jak poradziła Warszawa odsłaniając swe mury obronne. Troskę urbanistyczną zostawiam świetnym naszym urbanistom miejskim. Przecież należyte usytuowanie i związanie w jedną urbanistyczną całość trzech naszych kościołów-perel: po-bernardyńskiego, św. Anny i św. Michała w zespole z Wilenką i z starym klasztorem bernardynek za rzeczką, oraz z klasztorem panieńskim, obecnym aż do cerkwi na Zarzeczcu czeka cierpliwie na swoje kolejne urbanistyczne opracowanie.

Chodzi mnie zaś obecnie o postawienie postulatu 1-o jak najszybszego usunięcia owego skandalicznego, fałsz-gotyckiego, obdrapanego od-grodenia, tak, jak to już dawno zostało zrobione przy kościele św. Jana przez ks. kan. Miłkowskiego, a 2-o zdarcia z dzwonnicy Czaginowskiej tych wszystkich fałszerstw stylowych i materiałowych, które jako krzyżująca karykatura stwarzają konkurencję autentycznym formom św. Anny.

Co do pierwszego postulatu sądzę, że pod tym względem niema żadnej wątpliwości. Od-grodenie napewno będzie zburzone choćby z chwilą przystąpienia, jak słyszymy, do restauracji kościoła po-bernardyńskiego.

Natomiast co do życzenia drugiego należy dać kilka wyjaśnień i wysunąć parę projektów. Przedewszystkiem trzeba stwierdzić, że ów pseudo-stylowy gust gotycki, który miał niby prowadzić do harmonii między formami kościoła św. Anny a dzwonnicy — zawiódł zupełnie. Architekt Czagin, kolor wiśniowy cegły i jasny fug między ceglami sfałszował: są one malowane (portal !), kto nie wierzy, niech sprawdzi — przynajmniej pokręci głową. Jak to odpowiada logice gotyku i jego uczciwości?! Co gorsza już prof. Kłós w swoim przewodniku zaznaczył, że: „obok kościoła wznosi się dzwonnica nieudolnie naśladowująca jego charakter stylowy“.

Formy architektoniczne tej niezgrabnej wieży-dzwonnicy są bezceremonjalnie splagiatowane z kościoła św. Anny i przez to tworzą jej karygodną *konkurencję*. Nieraz podczas wielokrotnego oprowadzania turystów spostrzegałem jak ta ryczy-wół dzwonnica ściągała na siebie uwagę „maluczkich“ i wywoływała okrzyki zachwyty. Rzadko kto spostrzegał, że rozlażła bryła dzwonnicy zasłania ciekawą kapliczkę XVIII-wieczną „schodów pańskich i południową stronę fasady kościoła po-bernardyńskiego z ciekawą wieżyczką, rzadko kto pamiętał, że k' woli jej został



zniszczony piękny portal, który widzimy na starych sztychach, prowadzący do t. zw. „Stopów“, rzadko kto wyraził życzenie aby te wszystkie pseudo-gotyckie odbrapańce zniknęły z powierzchni Wilna jak najprędzej.

Osobiście wydaję zdecydowany sąd na te pseudo-gotyki. Proponuję je zburzyć bez żadnej apelacji. Przecież dzwony można byłoby zawiesić na istotnie wysokiej, a cudnej wieży stojącej przy prezbiterjum kościoła po-bernardyńskiego. Jeśli już jednak ta dzwonnica czaginowska musi pozostać ze względu na cele użytkowe, należy jej widok radykalnie... uspokoić. Uspokojenie polegało by na zrzuceniu sterczyń-wieżyczek ze szczytu tej dzwonnicy, przykrycie jej hełmem jednolitym, możliwie najprostszym i wydzielenie jej z kompleksu budowli XVI-wiecznych przez np. całkowite otynkowanie. Ks. kan. Kretowicz przez swą zdecydowaną inicjatywę w tym kierunku mógłby głęboko zaskarbić się w sercach miłośników „artyzmu“ Wilna.

IV. Lecz nie tylko ta dzwonnica — choć przecież idzie po linii estetycyzmu gotyckiego — jest z punktu widzenia twórczości artystycznej skandaliczna. Rzecz można bez przesady, że jeszcze skandaliczniejsze są pseudo-stylowe formy potwornego gmachu wodociągów miejskich w ogrodzie bernardyńskim. Widok od strony ogrodu na cudny kościół po-bernardyński przez te malowane na wiśniowo czupiradło, jest wprost imaginacyjnie brzydki. Owe wszystkie szczyty-attyki powinny były już dawno zlecieć, jak liście zeschłe z drzewa w jesieni, a ów kolor „estetyczny“ à la wiśniak pompejański, made in Petersburg, powinien był szczeznąć, jak śnieg na wiosnę. Trzebaż było aż tak spotwornić artystycznie to co z kultury estetycznej przeszłości cudem jest niewysłowionym. Oto do czego prowadzi estetycyzm!

V. To zważywszy, wracam jeszcze raz w końcu do ścisłego rozgraniczenia pojęcia artyzmu od estetycyzmu. *Artyzm* wiąże się ściśle z żywym, talentem oryginalnego twórcy, który swoje poczucie „piękna“ przyobleka w formy całkowicie odpowiadające stylowi jego duszy i jego czaru. *Estetycyzm* natomiast płynie z akademickich dociekań nad filozofją sztuki i świadczy o historycznej predylekcji badacza do tej, lub innej epoki z przeszłości artystycznej. Artyzm daje świadectwo prawdzie dnia dzisiejszego artystycznego twórcy i sięga w przyszłość kultury narodowej, estetycyzm mówi zaś tylko o przeszłości kultury i stwierdza co dotąd było z upodobań artystycznych badacza wspaniałego.

A przecież od prawdziwych artystów należałoby wymagać takiego raczej wyznania:

## W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ZGONU STANISŁAWA NOAKOWSKIEGO

Któż nie zna wspaniałych rysunków tuszem St. Noakowskiego, kto nie zatrzymał się zachwycony widząc je po raz pierwszy — te w kilku plamach i linjach wyczarowane fragmenty architektury zabytkowej, gdzie temperament, fantazja i niezrównana wirtuozeria techniki graficznej artysty składają się na całość niezapomnianą i styl osobisty, rozpoznawalny od pierwszego spojrzenia.

Talent swój odkrył Noakowski dość późno, już w sile wieku, gdy jako profesor historii architektury na uczelniach rosyjskich improwizował kredą na tablicy ilustracje do swych wykładów. Nie były to więc rysunki dokumentarne, ale dzieła fantazji, karmionej rozległą wiedzą, oraz ostrym zmysłem obserwacji. Ta fantazja stała się wyrazem tęsknoty artysty za ojczyzną, do której wrócić mógł jedynie na ostatnich dziesięć lat swego życia. Spędził je pracowicie, poznając wszystkie niemal istniejące pomniki dawnej architektury, ucząc w politechnice warszawskiej, zapładniając wyobraźnię i uczucia niezliczonymi swymi rysunkami, w których niewiadomo co więcej podziwiać — artyzm wirtuoza, czy intuicję i fantazję historyka sztuki.

W Warszawie.. ulicę Polną przemianowano na ul. St. Noakowskiego. W małym Łowiczu, gdzie ukończył gimnazjum, wydano jednodniówkę, urządzono akademię, wmurowano tablicę pamiątkową. Był to dla tego miasta dzień nietylko święta, ale i realnej troski: — po akademii wobec delegatów uczelni, przybyłych na uroczystość wręczono p. ministrowi Świętosławskiemu memorjał miejscowego Tow. Krajoznawczego w sprawie opieki nad zbiorami Muzeum Ziemi Łowickiej, którego gmach ulega ruinie.

Z jednodniówki wydanej w Łowiczu warto zacytować fragmenty pióra min. Świętosławskiego:

„Noakowski twórca niezliczonych i czarownych szkiców architektonicznych, odszedł od nas na zawsze, lecz dzieła jego przemawiają i przemawiać będą w przyszłości tem wymowniej, tem więcej i powszechniej będą cenione, im wyższy poziom artystyczny charakteryzować będzie społeczeństwo polskie. Takim przejdzie Noakowski do potomności i pokolenia czerpać będą z jego prac materiały do studjów i natchnień, takim przejdzie do historii“.

---

Jak kulą w gwiazdy trzeba się whić  
nim kasztanowe liście  
jesień nam w twarzach wyłocą  
iść, iść, iść!

Jeśli więc artysta jest pędem, to nie może być estetycznym bętakiem, sztampiarzem, reprodukcjonistą cudzej artystycznej przeszłości, pseudo-stylowcem, rzemieślnikiem — bez obrazu twórczego rzemiosła, rękodzieła — tylko musi być plastykiem-intuicjonistą, czarodziejem żywych nowych form ujmujących wymownie i sugestywnie jego własne emocje artystyczne i stwarzających we właściwym nie zakłamanym materiale nowe, dobre pod każdym względem artystycznym, przemyślane dzieła sztuki.



## D O R Z Y N K I L I T E R A C K I E

## 1. KRUCJATA CZESŁAWA MIŁOSZA.

Omawiając polemiki literackie okresu letniego pierwsze miejsce stanowczo przyznać należy rozpętanej artykułami Czesława Miłosza w „Piórze“ a zwłaszcza w „Orce“, gdzie ogłosił swój manifest („bando niedouków, poco piszesz te wiersze“) do kolegów po piórze, manifest określany przez niektórych również jako akt samobiczowania, co zresztą występuje dość wyraźnie w drugim z wymienionych artykułów.

Chodzi o to, że Miłoszowi zbrzydła już bezcelowość pisania wierszy dla wierszy, którą uprawia dziś — w okresie wyraźnej depresji artystycznej — znaczna część epigonów zarówno Skamandra jak i Awangardy. W młodym poecie, który, jak sam pisze, posiada „umiejętność szybszego przechodzenia etapów rozwoju, na których rówieśnicy przebywają długo“ fermentowały już oddawna potrzeby metafizyczne, dojrzewała konieczność odnalezienia sensu nadrzędnego dla wszelkiej działalności, a więc i dla sztuki. Dziś skłonny jest on — tak się zdaje — traktować przyrost wartości artystycznych niemal jako funkcję udoskonalenia wewnętrznego artysty.

Atak przeciwko odwalającym bezmyślnie wierszowane mlewo był bardzo ostry, jak widać choćby z przytoczonej „inwokacji“. Szukając źródeł zła, to znaczy bezmyślności wierszopisów i bezzębności (w dziedzinie problematyki i światopoglądu) krytyków, znalazł jego źródło w formalizmie. Formalizm — tak to mniej więcej wypadło — zatruwa krytykę, ubezwładnia ją, a piszącym wiersze przesłania cele wyższe nad rzemiosło poetyckie, nad „blask formy“. W zapędzie antyformalistycznym nasz ikonoklasta potępił w czambuł wszystkie metafory, elipsy i inne praktyki magiczne awangardzistów, omijając jakoś czarowne sztuczki „kataryniarzy“: — zwrotkę, liczone sylaby, rym etc. Bądźmy jednak sprawiedliwi — w twórczości własnej ostatnich czasów, zapatrzony w biblijno-antyczną manjerę francuskich wyrażaczy duszy pogardził już Miłosz tak jednym jak i drugim arsenałem, stając się coraz wyraźniej jako artysta — a m o r f i c z n y. Ta właśnie groźna (zwłaszcza u nas, gdzie „poeci“ jak stado baranów: wszyscy zaraz albo w te, albo wewte...) praktyka kazała mi — uznając zasadniczo aktualną pożyteczność wystąpienia Miłosza — przedrukować go w „Kolumnie Literackiej“, ale z dopiskiem przypominającym, że pogardzone „zdobycze formalne“ są integralną częścią dzisiejszego języka, są nieuniknionym, jak biologja, bagażem epoki, który dźwignąć musi każdy, kto chce zobiektywizować swą sztukę w życiu, czyli służyć nią sobie i bliźnim.

Niestety do tej wymiany zdań wtrącili się zdezerjentowani i narobili bigosu. W krajach o wyższej kulturze ogólnej wypowiedzi takie jak Miłosza, stanowiące niewątpliwie cenny, bo szczery dokument niebyłej jakiej psychiki, a więc i materiał do przemyśleń — są traktowane jako indywidualny wysiłek, list do siebie i przyjaciół we własnym, a nie ogólnie obowiązującym języku. Nikomu życia nie zatruwają, nikt nie robi z nich „barykady“ co do której trzeba się „opowiedzieć“ — niby że „po której stronie?!“ U nas, niestety, inaczej, inaczej... Najsensowniejszy atak J. A. Króla przeciw „wyrażaniu siebie“ bronił „poezji czystej“, zaatakowanej przez M. jako wyznawcę profetyzmu. Inni gorzej. obrońcy „formalizmu“ nie rozumieli np., że zarówno M. jak i ja nie uznajemy a u t o n o m i c z n o ś c i s z t u k i, broniono tej autonomiczności, broniąc „zdobyczy“ niczem zabawek, cennych same przez się; przeciwnicy znów wykazali brak zrozumienia właśnie dla roli metafory i t. d. jako organicznych form języka, a więc i życia psychicznego, czyli że pojmują je tylko jako ornamenty i martwe ozdóbki — po epigońsku. Krótko mówiąc, każda ze „stron“ miała swych podskakiewiczów i mąciwodów, a stron właściwie... nie było. Miłosz, kto drugi? Cała „walka“ była machaniną we mgle.

Bo trzeba myśleć jasno a najlepiej socjologicznie. — C ó z t o j e s t f o r m a l i z m, jeśli nie metoda badań, przychodząca z natury rzeczy jako ostatnia, by uporządkować i poszufladkować epokę już z a m k n i ę t ą. Przecież dla przytomnego jest oczywiste, że formalizm „wymyślono“, by badać twórców dawnych, u których od metafizyki aż się przelewa, a nie żeby służył za Madejowe łoże dla awangardy! Kto go próbował stosować do nowatorów wie najlepiej, że to jest bezsensowne, niewspółmierne, że cała nomenklatura formalizmu profesorskiego nicby nie określiła i nie nazwała w wierszu Przybosa. Przecież awangarda tworzy nomenklaturę własną, i — znowu trzeba o tem coś wiedzieć, żeby mówić — daleko tej (będącej jeszcze w powijkach) do statyki tamtej, porządkującej „wytwory“; wręcz przeciwnie, jak każda metoda używana do zjawisk *in statu nascendi* określa ona funkcje, jest z ducha dynamiczna, genetyczna, ocierająca się o „estetykę wyrażania“, psychologizm itp. rzeczy. Oczywiście podskakiewiczze obu „obozów“ o tem nie mają zielnego pojęcia.

Do takiego formalizmu można teraz przyczepić nadbudówkę filozofji materialistycznej, zmieniając metodę badań w system wartości, rzutujący potem jasna, również i na twórców. Powiedzmy



takie tendencje można wyczuwać wśród formalistów prawdziwych (t. zn. passeistycznych); ale to sprawa ich rachunku z duchami wieszczów, którzy mają pełne prawo, strasząc doktrynerów po nocach, manifestować swą egzystencję. Co tu jednak ma biedna awangarda? Jest to coś jakby skoczka o tyczce obarczać pretensjami do metra tańców salonowych.

Trzeba dobrze pamiętać, że między uznawaniem a nieuznawaniem autonomiczności sztuki (tak samo — „poezji czystej“), oraz materjalizmem a spirytualizmem, także między nowatorstwem a passeizmem, teoretycznie mogą zachodzić dowolne związki i powstawać najrozmaitsze kombinacje. Nie uwzględnienie którejś z kombinacji realnie istniejących, albo tendencji socjologicznej może spowodować fiasko całej krucjaty. Zwracając się do „bandy niedouków“, mógł Miłosz tylko od niej otrzymać odpowiedź. Cały żar wewnętrzny i wielka gra, którą chciał zagrać, mogły zostać bez kontrpartnera. Ale ten miał dobrą wolę i odezwał się, choć zniekształcono w wyzwaniu jego cechy rozpoznawcze.

## 2. OPTYMIZM FIKA.

W przeciwieństwie do irracjonalnego, biologicznego pesymizmu Czesława Ikonoklasty, inteligentny i pracowity młody teoretyk krakowski Ignacy Fik jest racjonalistą i optymistą. O tym optymizmie za chwilę. Narazie zestawiamy przeciwników. Żaden z nich nie jest wyznawcą autonomiczności sztuki, obaj wywodzą ją z pełnego człowieka i oceniają wedle spełnianej służby. Obaj mają awersję do formalizmu passeistycznego, tak samo do „poezji czystej“ (por. art. Fika o metaforze: „Pion“ nr. 33!). Dzieli ich więc tylko to, cośmy powiedzieli na początku — właściwie: temperament (stąd różnica metody i światopoglądów). Niemal że — geografja. Może to łagodniejszy klimat, oraz sąsiedztwo wielkich bloków przemysłowych i szlaków handlowych sprawia, że tam właśnie, w Polsce południowo-zachodniej nie zamarł dotąd racjonalistyczny, mit człowieka „awangardowego“, mający jeszcze pełne prawa obywatelstwa na liberalnym Zachodzie, swoiście i groźnie modyfikowany w reżimach faszystowskich, a u nas dawno już zduszony przez kryzys. W obronie tego mitu, podtrzymywanego filozofją, karmionego dzielnicami robotniczymi dawnego (już!) Wiednia i budowlami Le Corbusiera, w obronie racjonalistycznej wirtuozerji życia w „prostych ramach“, walczy Fik z wileńskimi „demonologami“ i ich Łobodowskim. I tak by mogło zostać. Miłosz oskarżałby Fika o zanik wrażliwości na metafizykę, Fik nazywałby Miłosza, Zagórskiego i Łobodowskiego ukostiumowanymi mistykantami, a szary czytelnik mógłby sobie wybierać wśród nich wedle gustu i wewnętrznej potrzeby, jako że świat jest dość obszerny, by pomieścić

jednocześnie proroków i nauczycieli gimnastyki, karmiąc ich i przyznając każdemu część racji.

Niestety, żyjemy w okresie przemian, gdzie pozycja awangardzisty jest znacznie trudniejsza do utrzymania. Zwłaszcza gdy żywi ambicje racjonalistyczno-pozytywne. Histeryczny rzut myślowy obrażonego na rzeczywistość samotnika, ma większe szanse trafności (choćby przewrotnej), niż cierpliwa indukcja kogoś ciągle zaskakiwanego przez fakty, a szluszującego do szeregu. Broniąc się przed „wizjonerami“ zasłania się Fik tarczą rzeczywistości, która przestała być prawdziwa, wcześniej, nim ją zrealizowano w pełni. Nieaktualny mit... Bo co nas ma dziś napawać optymizmem? Mlewo epigonów awangardy, czy przebieg i kierunek zmian społecznych, wizja nowego wpaniałego świata i „cywilizacji szoferów“? Lubię, gdy Fik z pedagogiczną linią w ręce zagląda w łapy „szamanów“, cenię rzetelność artystyczną Piwowara, ale przecież... właśnie „Przyjście wroga“ było najprzenikliwszym aktem poznania poetyckiego lat powojennych. Tego nie wolno nie rozumieć.

## 3. INNI OPTYMIŚCI.

Z sympatycznej grupy „Naszego Wyrazu“ wyróżnił się jeszcze jako dobrze zapowiadający się krytyk Michał Chmielowiec. Również optymistą, ale jak się okazuje mniej solidnego chowu. Postanowił na olimp krytycki przyjść z posagiem — *crachons le mot* — antentyzmu... Jaka osobowość pisarska coraz bardziej przypomina Łaszowskiego: podobna błyskotliwość, podobny brak hierarchji i selekcji, podobne godzenie ognia z wodą i pięści z nosem przy pomocy t. zw. „magji słowa“. Michał Chmielowiec fascynuje się „możliwościami“, Michał Chmielowiec ma słodkie słówka dla zapoznanych i gorliwie się przypominających, jest skłonny do rewizji, syntezy i do odszukiwania „ziarna prawdy“. A lepiejby zaniechał tych sztuczek jarmarcznego fakira, — bo będzie miał tak pikantne wpadunki, jak z tym p. Pyrkiem, który go pochwalił (w „Czasie“) za ideologję w guście Asnyka i Konopnickiej, — bo młody i żywy człowiek nie może się bezkarnie babrać w pseudoideologii wyrosłej z kazuistyki i m p a s u, — bo wogóle samem politykowaniem nic się nie osiągnie: trzeba mieć rzetelnie przepracowaną i skonfrontowaną wizję tego, o co się chce walczyć. Inaczej słowa zostaną słowami i prędzej czy później pójdą w pacht najbliższego licytanta. Przykładów dość.

Może to brzmi ostro, ale niechże będzie wyrazem obawy o wartości. Ileśmy to już stracili na obłudnie montowanych „obozach“! W „Naszym Wyrazie“ zaś zapanowała sielanka personalna. T. zw. autentyci ornamentują się awangardowo, a nowatorzy — *avant la lettre* — chwalą ich owszem nienajgorsze wiersze.



Jeśli Przyboś nie zrobi z tem porządku, spodziewajmy się bękarta.

#### 4. MIT, ENTENTA I SZANTAŻ.

To widać, że bez mitu długo już nie podychamy. Rzecz w tem, żeby się go dopracować, a nie — doigrać... Przedewszystkiem na „racjonalistycznej“ awangardzie ciąży ta praca urealnienia świadomości — chyba że zgodzimy się na jakieś podsunięte ersatze, pietrkiewiczyznę czy coś podobnego. Racjonalści czy wizjonerzy, najwyższa pora znaleźć wspólny język i otrząsnąć się z oblażających wszystko podskakiewiczów. Jakże łatwo np. Miłosz mógł być zrozumiany, gdyby swą filipikę wygarnął, dostrzegając adresatów i używając mniej demoralizującego języka, niż *slang* paryskich „ludzi za mgłą“ (Claudel, Gide, O. Miłosz etc.).

Bo już się zaczyna. Czytaliście Nowaczyńskiego wierszyk i artykuł o „Małej Niemowie“ czyli o nas właśnie? Nazwiska są wprawdzie niekompletne, ale do quorum wystarczy, Chodzi o to, czemu *cavaleria rusticana*, awangardziści, autentyci i stypendyści zachowali w ciągu ostatnich kilku gorących miesięcy tak doskonałe złote milczenie. Artykuł jest jeszcze względnie łagodny i delikatnie roztrzepotany — pierwsza jaskółka. Będą gorsze. Był kiedyś szantaż radykalny pacyficyzm i narodowo. Prosto każą wrzeszczeć na miarę wyobraźni i wymagań przydzielonych „czynników“. Jak zaradzić? Działalnością tak oczywistą i tak przerastającą wyobraźnię rzeczonych czynników, żeby nie trzeba było legitymować się jak Zagórski w „Apele“ z wierszy „zaolzańskich“ i żeby podskakiewicz nie stanowili żalosnej — a tak niestety jest — konkurencji.



Ozdobniki podług drzeworytów z księgi  
„Scena d’Huomini Illustri D’Italia“  
Venezia, MDCLIX.

## PRZEGLĄD CZASOPISM

**Ateneum**, lipiec—wrzesień. — Dwustu stronicowy przeszło tom zawiera m. in. A. Feyta ciekawą i pracowitą rewizję dzieła Kossak-Szczuckiej, St. Łobaczewskiej artykuł o Rawelu na tle epoki, frapującą sztukę St. I. Witkiewicza p. t. „Sonata Belzebuba“ (wyszła także w oddzielnej odbitce). Z wierszy zasługują na uwagę J. Zagórskiego „Bajka dla Elżbiety“, Czechowicza stylizowany „Poemat“, oraz M. Jastruna przykłady z Rilkego. Sprawy poezji lirycznej i epickiej, oraz budowy wiersza poruszają W. Kubacki, J. Przyboś, S. Lichański i K. Wyka. Nie potrzebujemy streszczać tego bogatego n-ru (zresztą do niektórych spraw jeszcze powrócimy), trzeba stwierdzić, że „Ateneum“ jako nieco eklektyczny, ale prawdziwie zasobny magazyn literacki prowadzony na modłę miesięczników francuskich, jest dziś w Polsce bez konkurencji.

**Głos Plastyków**, czerwiec. — Modne są „Arkady“, ale trzeba koniecznie, żeby czytelnicy pism artystycznych nie ominęli n-ru „Głosu plastyków“, poświęconego Aleksandrowi Gierymskiemu. Są tam trzy artykuły: — J. Czapskiego, J. Cybisa, a przedewszystkiem pełen wymownych zestawień artykuł czołowy Jerzego Stempowskiego, który poznać powinien każdy, kogo obchodzi pojęcie „naturalizmu“ w sztuce.

**Muzyka Polska**, wrzesień — przynosi artykuł dwóch wilnian: St. Szpinalskiego interpretację „muzyczną“ też kulturalnych Ozonu, oraz N. Fantiego — o racjonalnym programie studjów fortepjanowych. W numerze poprzednim bardzo ciekawe rozważania teoretyczne St. Łobaczewskiej.

**Teatr**, wrzesień—październik. — Popularny i treściwy artykuł Tymona Terleckiego o ewolucji poglądów na rolę autora w teatrze, E. Świerczewskiego artykuł o Stanisławskim i in. Kompletna kronika teatrów stołecznych, żywy kontakt z życiem teatralnym innych miast i zagranicą sprawia, że chociaż redagowany zasadniczo pod kątem widzenia potrzeb T. K. K. T., jest ten miesięcznik — wobec braku konkurencji ze strony teatrów prywatnych — jedynym informatorem teatralnym Warszawy.

**Skamander**, — październik. — Na uwagę zasługują J. Borejszy rozważania o essayizmie, H. Morstina fragment komedji „Obrona Ksantypy“, oraz wiersze A. Sowińskiego. Zestawienie Schulza z Gombrowiczem pióra H. Voglera uderzająco jałowe i mechaniczne.

**Sygnaly** obchodziły latem dobrze zasłużony jubileusz 50 nru. W najnowszym n-rze rzeczowy artykuł M. Haresza „Józef Piłsudski i Stanisław Brzozowski“. Dział literacki bardzo zaniedbany.

**Wymiary**, październik. — Wiersze Jastruna i Sowińskiego, artykuł Zawodzińskiego o poezji społecznej, Jastruna o przekładach z liryki niemieckiej, wreszcie obfity dział spraw kulturalnych łódzkich — stanowią trzon nr-u 5-go miesięcznika (redagowanego przez G. Timofiejewa i T. Sarneckiego), w którym goszczą często pisarze młodego pokolenia z Józefem Czechowiczem na czele.



# PERŁA POLSKIEJ PÓŁNOCY

## 1. NAROCZ „PRZEREKLAMOWANY“.

Słońce zalewa ziemię ogniem. Tumany kurzu wirują w powietrzu, wciskają się do oczu, gardła, płuc. Trudno w takie dni żyć w mieście. Ulice wyglądają jak kamienne wąwozy, pełne zmęczonych od skwaru ludzi. Cegła i kamień zakłuły przestrzeń, i tylko gdzieś anemiczne, zakurzone liście drzew przypominają, że przecież są przewiewne cienie lasów i wesoly ich rozgwar. Że można znaleźć tam wypoczynek i ochłodę. Wtedy narasta w duszy chęć wyrwać się copędzej z miasta — tam, gdzie słońce nie pali, a pieści, gdzie wiatr nie tchnie spiekotą murów, nie roznosi pyłu, a rzeźwi i wonie pól i lasów roztacza.

Spotykam znajomego. Idzie spocony, opancerzony w marynarkę i kamizelkę. Nabrzmiała krwią szyję zaciska kołnierzyk. Wycierając z potu twarz chustką i wachlując się kapeluszem wita mię. Rozmawiamy. Po chwili zwierzam się mu:

- Jutro jadę na wypoczynek.
- Pysnie... Pewnie do jakiegoś uzdrowiska?
- Nie... Pojadę nad Narocz.
- Na-roc!

Brwi mu jadą w górę — na pół czoła. Oczy robią się okrągłe.

— Dajże pan spokój! Czy pana nie stać na pobyt w Krynicy, Zaleszczykach lub nad morzem? Narocz jest przereklamowany. A naprawdę: wilgoć, prymityw, ani restauracji, ani sklepu. Słowem dzicz.

— Nie zależy mi na restauracjach. Chcę popływać w jeziorze, brodzić po lasach, zwiedzać piękne okolice.

— Brodzić po lasach?... A żmije! Są takie, o! — rozkłada ręce na metr. — Gryzą jak psy. A wie pan ilu tonie rokrocznie w Naroczach?... Jezioro gładkie jak serweta. Wyjedźcie sobie facet kajaczkami. Pięknie, ładnie. Nagle burza. I niema go. Za trzy dni rybacy trupa wyłowią. Z tym Naroczem poprostu psychoza...

Żegnamy się. Nie przekonał mię. Zresztą byłem już gotów do drogi. Jednak w myśli powstało pytanie: „A może i rzeczywiście nie warto tam jechać?“

## 2. DROGA.

Autobus wypełnia się po brzegi. Pasażerowie siedzą nawet w przejściach. Niektórzy stoją. Na dachu pełno bagaży. Myślę ospale: „Czy udźwiga to wszystko?“ Lecz jakoś sobie radzi i rozwijając coraz dalej welon kurzu mknie szosą w dal.

Ścisak i zaduch dokuczały wszystkim. A droga się dłuży — cztery godziny jazdy. Mijamy piękną puszcę, wsie, miasteczka. Wreszcie, zupełnie niespodzianie, oczom się ukazują spokojna, o stalowym połysku, tafla jeziora. Wszyscy patrzą w jego stronę. Ktoś westchnął: „Jak morze!“

Teraz jedziemy malowniczą drogą, biegnącą wzdłuż brzegu jeziora. Narocz to znika nam z oczu, to nagle ukazują całe bogactwo swych wód i przepych barw. Droga pnie się w górę, opada wdół, przemyka się przez wsie, pola i roztacza coraz nowe widoki. Każ-

dy piękny, każdy odrębny, każdy wabiący oko. I żałuję, że niema czasu im się przyjrzeć. Więc układają się we wspomnieniu jak śliczna, chaotycznie rzucona na brzegi jeziora mozaika.

## 3. PIERWSZE WRAŻENIA.

Południe. Wszystko zamarło w bezruchu.

Gdy patrzę z urwistego brzegu na jezioro, to wygląda jak roztopiona turkusowa masa. Drugie niebo. I aby zwiększyć to podobieństwo toną w jego nurtach zastygłe w bezruchu u góry obłoki.

Schodzę w dół i dotykam stopą wody. Jest ciepła. Naprawdę pieści ciało. Idę powoli ku głębinom. Dno miękkie, piaszczyste, łagodnie opada. Dopiero po 300—400 krokach od brzegu tracę grunt pod nogami.

Płynę przed siebie. Nurzam się w cieplej rozelśnionej wodzie. I narasta poczucie wolności, szczęścia, zdrowia i siły. Radość i dziecinny zachwyt przepełniają pierś.

Wracam ku brzegowi. Teraz na odmianę pławię się w słońcu, które tu nie nuży, nie piecze, lecz łagodnie otula ciało. A z brzegu płynie woń rozgrzanej w słońcu żywicy. To dyszy las.

W dali mkną kajaki. Jak lustrzane lśnią w słońcu mokre końce wiosel. A na skoczniach pełno wesolych, beztrudnych ludzi. Widzę brązowe, opalone postacie. Słyszę okrzyki, śmiech, nawoływania. Lecz nie idę tam. Najlepiej mi jest samemu. Wówczas inaczej się

*Poganiń  
nad Naroczem.*







*...drogą biegnącą wzdłuż brzegu jeziora...*

*fot. J. Bułhak.*

odczuwa piękno otoczenia. Nic nie absorbuje uwagi, nie przerywa kontaktu z tem, co mamy najpiękniejszego — naturę.

#### **4. BOGACTWA NAROCZA.**

Na brzegu urwiska wysoko wspięła się na obmytych z ziemi korzeniach — jak baletnica na czubkach palców — wysmukła sosna. Patrzy ku przeciwległemu brzegowi. I jest na co patrzeć. Bogaty to kraj. Są tu szmaragdy, szafiry i turkusy, wyczarowane z przepychu wód, z bezkresu nieba. Są opalowe barwy, są rubinowe zorze, są złote i srebrne błyski. I pereł tu bez liku. Stroją się w nie każdego poranku trzciny i drzewa. A jezioro, jak piękna kobieta, ubiera się w najbogatsze szaty i klejnotami szczerze je zdobi.

Piękne są wybrzeża Czarnego morza. Cudne są tam widoki. Lecz niema nawet porównania z tem, co można zobaczyć nad Naroczem. Często stawałem zdumiony i oczom nie wierzyłem... Niebo i woda, nieustannie zmieniając barwy, starają się olśnić urodą. Niepojętą magją wyczarowują z siebie tysiące najwspanialszych kolorytów. Tworzą z nich akordy barw — ludziom nieznanne. A gdy to znika, gdy szarość ogarnia ziemię, smutek wciska się w serce... Że zniknęło bez śladu tyle piękna... Ale i to nie nadługo, bo i noce tu są ładne, a wieczory cudne.

#### **5. PERŁA POLSKIEJ PÓŁNOCY.**

Kapryśna i nieobliczalna jest perła polskiej północy. Nie zawsze się wdzięczy, nie zawsze się barwi. Czasem, zupełnie niespodzianie, wzburza się, nastroszy

grzywy fal i ciężko dysząc olbrzymią piersią, miota ku brzegom postrzępione bałwany. Wówczas woda nabiera barwy i ciężaru ołowiu. A niebo opada nisko i — jak jezioro — gna wdał obłoki i szarpie grzywy chmur.

Nie zawsze się wdzięczy, nie zawsze się barwi jezioro, lecz zawsze jest piękne. Jest w niem teraz siła, bunt, jest groza. A gdy później wygładzi wzburzone wody i rozbłyśnie w uśmiechu, wszystko odetchnie swobodniej, weselej.

Burza. Idę powoli brzegiem. Spotykam znajomego. Kołnierz marynarki postawiony. Rozciera zziębnięte dłonie.

— Ma Pan ogień?

— Owszem.

Zapala papierosa i rzuca zirytowane spojrzenie na jezioro.

— Widzi pan co się dzieje!

— Tak... Pięknie...

— Nie uważam. Wolę grać w bridża, niżli stać tu bezcelowo. Chodź pan.

— Idę się kąpać.

— W taką pogodę!

— Teraz najprzyjemniej.

— Nie radzę. Samemu niebezpiecznie i nudno.

— Mam do towarzystwa mewy.

Patrzy na mnie jak na warjata. Żegnamy się. Trudno i przykro mówić ze ślepym o kolorach.

#### **6. POLOWANIE NA PIĘKNO.**

Jesteśmy dobrze uzbrojeni: karabin maszynowy firmy „Leica“ i karabin zwykły firmy „Rodenstock“.



Z podziwem laika oglądam „Leikę“ artysty-fotografa i „Rodenstock“ artystki. Wyrażam fachową opinię o Leice:

— Jeśli tem w łeb trzasnąć może być duży guz.

Bniemy powoli brzegiem jeziora w poszukiwaniu „motywów“. W pewnej chwili pan X. przystaje i ostrzeżliwie z Leiki dwie przytulone do siebie łodzie. Pani Y. długo się zastanawia nim wybierze odpowiedni „motywy“ do zdjęcia. Rozstawia statyw i nogi; bada krytycznie obiekt. Wreszcie: trzask! i — mówiąc językiem myśliwych — „zając pada u jej nóg“.

Podsuwam moim mentorom „motywy“:

— Proszę pana: co za śliczna sosna!

— I cóż z tego, że śliczna! Ale graficznie to do niczego.

Zaczyna się długi wykład o kompozycji w fotografii: „tło, płaszczyzna, złoty środek, elementy...“. Uf! Wieję dalej... Przysuwam się do pani Y. i kuszę:

— O, ten wykrot!... To jak walka głowonogów... Na tle jeziora byłoby wspaniałe!

Łapię pogardliwe spojrzenie i pobłażliwy uśmiech:

— Źle oświetlone i wogóle niema „wyrazu“.

Jestem zgnębiony, zmiażdżony, starty na proch.

Próbuję dezercji. Zostawiam moich artystów o kilkadziesiąt metrów z tyłu i zdejmuję spodenki. Idę nago. Chłonę słońce, powietrze i swobodę. Czuję się bożkiem lasu.

Wracamy. O zgrozo: słońce chowa się za chmury. Siadamy na brzegu jeziora i czekamy. Pan X. mówi:

— Proszę mnie obudzić, gdy ukaże się słońce.

I już śpi. Jestem pełen zazdrości i podziwu: od niego nie zarobią apteki na środkach nasennych.

Wreszcie ukazuje się słońce. Proponuję pani Y.:

— Niech pani weźmie „Leikę“ i trzaśnie ze mnie parę zdjęć. To się zdziwi, gdy wywoła film.

Wykradam śpiącemu aparat. Potem staję na rękach, robiąc „żabkę“, później „kogutka“. Trzask! Gotowe... To moja zemsta za wykład o kompozycji.

Budzę pana X. radosnym okrzykiem:

— Słońce!

Polujemy dalej na piękno natury. Utrwalamy je. Przekazujemy tym, którzy nie mieli sposobności go zobaczyć.

## 7. CHRZEST ŻEGLARSKI.

Niechętnie idę do przystani Schroniska Turystycznego. Przyjąłem propozycję pojechać żaglówką na drugą stronę jeziora i żałuję tego. Tłumaczę swą rezerwę:

— Wolę kajak. Tam jest praca. Gdy jezioro wzburzone — bezpośrednia walka z żywiołem. Ciągła uwaga, aby nie wyrzuciło kajaka, żeby nie zalało go. A tu co? Robię pogardliwy grymas szczura lądowego.

Trochę mię pociesza widok wzburzonego jeziora i nazwa żaglówki „Dzika“. Jeśli dzika, to może będzie niespodziewanie coś ciekawego. Naprzykład kozła fiknie.

Jest nas pięciu: sternik, którego nazywam górnie kapitanem, jego żona — bosman, dwóch pasażerów (pan i pani) — balast, no i ja szczęście żeglarskie. Nieufnie patrzę na liny, maszt, bom, fok. Tyle tego jest i tak dziwnie się nazywa!

Ruszamy. Żaglówka mknie naprzód. Tnie białe grzywy fal. Zostawia ztyłu wzburzone, kipiące bałwany. Woda zalewa łódź. Falochron mało pomaga. To mi się zaczyna podobać, lecz nie wykazuję zadowolenia. Sądzę, że to nie wypada.

Pewna rzecz przykuła moją uwagę. Przecież wiatr mamy z przodu, a jednak jedziemy naprzód. Co za magia? Nie śmiąc zapytać kapitana, pytam bosmana o wyjaśnienie mi tej kwestji. Objaśnia mi chętnie i obszernie, lecz niezbyt rozumiem. I nawet teraz wydaje mi się dziwnem, że można wykorzystując wiatr jechać pod wiatr. A gdy dawniej mi ktoś podobne rzeczy bajął, to napewno bym powiedział: „Puc jest, ale glansu niema“.

Zbliżamy się ku przeciwległemu brzegowi jeziora. Zrobiliśmy dziesięć kilometrów. Kapitan wydaje komendy. Bosman sprawnie pracuje. My, załoga (jednocześnie balast) chętnie, lecz nieumiejętnie przeskaka-



...wiatr mamy  
z przodu.

fol. St. Turski.



dzamy. Wszystko gotowe. Miecz wyciągnięty. Ładujemy.

Po dłuższym zwiedzaniu pięknej okolicy wracamy. Teraz mkniemy z wiatrem. Woda jeszcze więcej zalewa łódź. Jesteśmy mokrzy. Wylewam kubkiem wodę z łodzi i demonstracyjnie liczę. Oświadczam, że mierzę pojemność jeziora.

Gdy jesteśmy pośrodku Narocza, zdaje się nam, że w pobliżu rozległ się czyjś krzyk. Kapitan „Dzikiej“ puszcza żagiel „w łopot“ i łódź straciwszy pęd kolebie się na falach. Długo oglądamy powierzchnię jeziora, lecz nic nie możemy dostrzec. Konstatujemy: mewa lub coś na żaglówce sprawiło podobny do krzyku człowieka dźwięk. Jedziemy dalej.

Rola balastu mię znudziła, więc zwracam się do kapitana, który siedząc u steru „gra“ wilka morskiego:

— Chciałbym skoczyć za burtę i wlec się za łodzią na linie.

Ale gdzież tam — nie pozwala. Drugi pan (główny balast — 90 kilogramów bez krawata) też wyraża sprzeciw. Przekonywam ich:

— Dobrze pływam... Nic mi się nie stanie... Przecież i tak jestem cały mokry... Tu jeszcze więcej marzną...

Panie biorą moją stronę: „Sprawić mu tę przyjemność, jeśli tak bardzo chce“. Poraz pierwszy w życiu dziękuję Bogu, że stworzył niewiasty. Wreszcie zgodę kapitana uzyskano. Tylko balast („główny“) nadal niechętnie patrzy na tę imprezę.

Wiążę do rufy żaglówki linkę i po zrzuceniu zbędnej w tym wypadku garderoby, skaczę do wody.

Porwał mię wir. Fale zalewają głowę. Trudno odychać. Ręce wyrывa ze stawów. Śliska linka wymyka się z dłoni. Mam chętkę krzyknąć aby zatrzymano żaglówkę, lecz ambicja nie pozwala. Przeklinam swą nierozwagę: trzeba było zawiązać pętlę, lub chociaż zrobić węzły, aby dłonie miały oparcie.

Teraz już nie dziękuję Bogu, że stworzył niewiasty. Przeciwnie.

Wreszcie po — zdawało mi się nieskończenie długim czasie — jesteśmy na miejscu. Zdrętwiały, siny z zimna, porzucam wszystko i gonię ku brzegowi. Prędkiej się rozetrzeć ręcznikiem i włożyć suche ubranie.

Tak się odbył mój chrzest żeglarski.

## 8. INNE PERŁY NASZEJ PÓLNOCY.

Jest w pobliżu Narocza jezioro jak z bajki wyjęte. I dziwną ma nazwę: Blado. Kilka razy obszedłem je dokoła i często przychodziłem na jego brzegi słuchać poszeptu fal, poszumu lasu.

Niedawno przeleciał tędy huragan. Zasłał brzegi jeziora wieloletnimi sosnami. Pościnał wierzchołki drzew, powykrcęał je. Bolało serce, gdy się patrzyło na to cmentarzysko leśnych olbrzymów.

Poranki tu niezapomniane. Ptactwa bez liku. A ileż pięknych „motywów“ znajdzie tu malarz lub artysta-fotograf. Każdy brzeg inny, każdy porywa głodne piękna oczy.

Pewnego razu znalazłem daleko w lesie jezioro o bardzo pospolitem imieniu: Młynek. Utonęło w leśnej gęstwinie i patrzy w niebo, samo jak niebo głębokie, tajemnicze. Brzegi jego są grząskie, niedostępne. Nie ma tu łodzi, niema tu ludzi, jest tylko cisza tajemnicza i poszum liści i głębia przedziwna, w rzęsach szuwarów ukryta. — Wielokolorowe, smutne oko lasu.

A ileż innych drogich pereł rozrzuciła w pobliżu Narocza natura, zdobiąc niemi naszą północ. Miastro, Miadzioł, Batoryno, Rudakowo, Bładko... Każde ma swoisty urok, każde inny wyraz.

Czyż biedny to kraj? Nie, nie biedny, tylko zapomniany lub mało znany. Może kiedyś na tych terenach wyrosną olbrzymie — hotele-pensjonaty, po wodach popłyną liczne statki, a brzegi zalegną plaże, pełne ludzi, szukających zdrowia i wypoczynku,

## 9. ŻEGNAM NAROCZ.

Zbliża się połowa września. Coraz puściej dokoła. Rozkoszuję się samotnością i ciszą. Wszędzie można opałać się w słońcu bez przeszkód. Robię dalekie wycieczki kajakiem. Czuję się odkrywcą nowych łądów.

Wieczorami długo patrzę na wspaniałe zachody słońca. Obserwuję ze skoczni jak rybacy płyną jeziorem. Pięknie wyglądają ich łodzie zdala, gdy lśnią mokre wiosła w powietrzu i gdy zarzucają sieci. — Nie wiem wtedy co łapiają: ryby, czy błyski naroczańskie, złote i srebrne.

A gdy burza się sroży, wówczas zdaje mi się, że to dwie siostry: niebo i jezioro, spór wiodą. Grożą sobie zwałami chmur, górami fal, splatają gniewnie warokocze. Przetykają je złotymi błyskawicami. Ale wiem, że zaraz się uspokoją, uciszą, roześmieją i znów wdzięczyć się będą — niebo odbite w jeziorze, jezioro pełne nieba.

W dniu wyjazdu pojechałem rano kajakiem na jezioro. Mewy obsiadły próżne skocznie. Przy moim zbliżeniu się odleciały.

Cisza zupełna.

Ostatni raz płynę Naroczem. Potem schnę w słońcu. Opaliłem się na bronz. Zahartowały mię wiatry, słońce, woda. Znalazłem tu wolność, bez troskę i wypoczynek dla skołatanej duszy, dla starganych nerwów. I za to wdzięczny jestem bezgranicznie.

A teraz, gdy znużył mnie gwar miejski, gdy znudzą ludzie, myśli leżą tam, gdzie burzy się i wdzięczy, gdzie wielobarwna, cudna, leży perła polskiej północy. „Kiedyż ją znów zobaczę!“

To nie „propaganda“, to nie patos literata, to wdzięczność moja za dwadzieścia pięć pięknych dni, spędzonych nad tamtem ślicznym jeziorem, z których każdy był inny, każdy niezapomniany, każdy radosny.

fol. M. Panascwiczówna.





# TEATR MIEJSKI W WILNIE NA POHULANCE

PODDYREKCJĄ

Dra LEOPOLDA POBÓG-KIELANOWSKIEGO

# PROGRAM



S e z o n 1 9 3 8 | 3 9



# S P I S Z E S P O Ł U

## ZESPÓŁ REŻYSERSKI :

DR LEOPOLD POBÓG - KIELANOWSKI  
ZIEMOWIT KARPIŃSKI  
ZBIGNIEW NAWARA - NOWOSAD



## ZESPÓŁ ARTYSTYCZNY :

WALENTYNA ALEXANDROWICZ, HALINA BUYNO, IRENA JASIŃSKA-DETKOWSKA, LIDIA KORWIN, HALINA ŁĘCKA, WŁADYSŁAWA NAWROCKA, MARIA SIERSKA, ZOFIA ŚLASKA, WANDA SZCZEPAŃSKA, JULIUSZ BALICKI, ZBIGNIEW Blichewicz, ANTONI CZAPLIŃSKI, WŁADYSŁAW ILCEWICZ, STANISŁAW JAŚKIEWICZ, ZIEMOWIT KARPIŃSKI, STEFAN KĘPKA-BAJERSKI, LEOPOLD POBÓG - KIELANOWSKI, WŁADYSŁAW LASOŃ, ALFRED ŁODZIŃSKI, STEFAN MARTYKA, BOLESŁAW MIERZEJEWSKI, ZBIGNIEW NAWARA-NOWOSAD, KLEMENS PUCHNIEWSKI, WŁADYSŁAW SURZYŃSKI, LUDWIK TATARSKI, LEON WOŁŁEJKO, ANTONI ŻULIŃSKI.



## KIEROWNICTWO PLASTYCZNE :

JAN I KAMILA GOLUSOWIE



## KIEROWNICTWO MUZYCZNE :

ANTONI ŻULIŃSKI



## KIEROWNIK ADMINISTRACYJNY :

STEFAN MARTYKA



**K**wiaty cięte i doniczkowe  
poleca  
w bogatym wyborze

Sklep kwiatów A. ŚWIRKLIS

Mickiewicza 20 (róg Jagiellońskiej) tel. 20-22

D R U K A R N I A  
A R T Y S T Y C Z N A

„G R A F I K A”

wykonuje wielobarwne  
druki reklamowe  
oraz wszelkie roboty w za-  
kresie drukarstwa

WILNO, Tatarska 22, Tel. 13-69

**Węgiel górnośląski  
drzewo opałowe**

dostarcza firma

„KRESOOPAŁ”

Wilno, Wielka 2, tel. 24-10





**OPIYK  
J. WASZKIEWICZ**

**WILNO**

ulica Dileńska 25 tel. 16-84

**P o l e c a**

szkła do okularów  
najlepszych fabryk  
„ZEISSA” i  
„RODENSTOC’KA”  
oraz oprawki naj-  
lepszych fasonów,  
lornetki teatralne  
i polowe.

# M A R I E L L A

sztuka w 4 aktach

K E I T H W I N T E R

w przekładzie Heleny Mysłakowskiej

O S O B Y :

Dawid Linden . . . . .	Władysław Surzyński
Mariella Linden . . . . .	Walentyna Alexandrowicz
Judytka Linden . . . . .	Halina Łęcka
Hanna Linden . . . . .	Wanda Szczepańska
Henryk Linden . . . . .	Alfred Łodziński
Micki Linden . . . . .	Zbigniew Blichewicz

Akcja rozgrywa się w elżbietańskim dworku w Yorkshire,  
w przeciągu jednego miesiąca.

Reżyseria: LEOPOLD POBÓG-KIELANOWSKI.

Oprawa plastyczna: JAN I KAMILA GOLUSOWIE.

W przygotowaniu

„GAŁĄZKA ROZMARYNU”

Zygmunta Nowakowskiego

*NOE, dziad wszystkich  
narodów,  
Ledwie wyszedł z długich  
brodów,  
Widząc, że ta woda ludziom  
bardzo wadzi,  
Do wina się ima i winnice  
sadzi!  
ON to był pierwszym  
rolnikiem  
I zasadził winną latorośl  
I PIŁ WIELE WINA  
I ŻYŁ JESZCZE 350 LAT.*

**W WILNIE**

**JEDYNA SPECJALNA  
PIWNICA  
W I N**

**to winiarnia „POD OKRĘTEM”**

w podziemiach domu Nr 11  
ul. Mickiewicza vis-a-vis P. K. O.

Import wprost z Winnic—

— Rozlewnia własna

HURT—DETAL—PROBIERNIA

**Codziennie koncerty od 18-ej  
do 23-ej**

Tel. 25-40.

Właśc. Feliks Żebrowski



KOMUNALNA KASA OSZCZĘDNOŚCI  
MIASTA WILNA

K. K. O.

Przyjmuje wkłady poczynając od 1 złotego. Udziela pożyczek na dogodnych warunkach. Załatwia wszelkie operacje bankowe.

GODZINY URZĘDOWANIA:

Wydział Czekowo-Oszczędnościowy:

od 8 do 19<sup>1/2</sup>

Dyskonto, Inkaso, inne:

od 8 do 15

---

CZYTELNIA JADWIGI  
MARKOWSKIEJ

W WILNIE, Tatarska 22

otwarta od godz. 11-ej do 18-ej

POLECA NA NAJDOGODNIEJSZYCH WARUNKACH BELE-  
TRYSTYKĘ, **ostatnie nowości** w języku polskim i obcym.

DLA MŁODZIEŻY LEKTURA SZKOLNA I SPECJALNA ZNIŻKA.

---

**Węgiel i Koks**

GÓRNOŚLAŃSKI

kopalń konc. **Progres**, Katowice  
koksowień **Wspólnoty Interesów**,  
Katowice

poleca

HURTOWO i DETALICZNIE  
w szczelnie zamkniętych i za-  
plombowanych wagonach

**M. DEULL** biuro: Jagielloń-  
ska 3, tel. 811  
bocznica własna: Kijowska 8, tel. 999

**Trwałą ondulację**

specjalnie wykonuje

**ZAKŁAD FRYZJERSKI**

**DAMSKI i MĘSKI**

**„Władysława  
i Bronisławy”**

ul. Ostrobramska 11, tel. 23-83



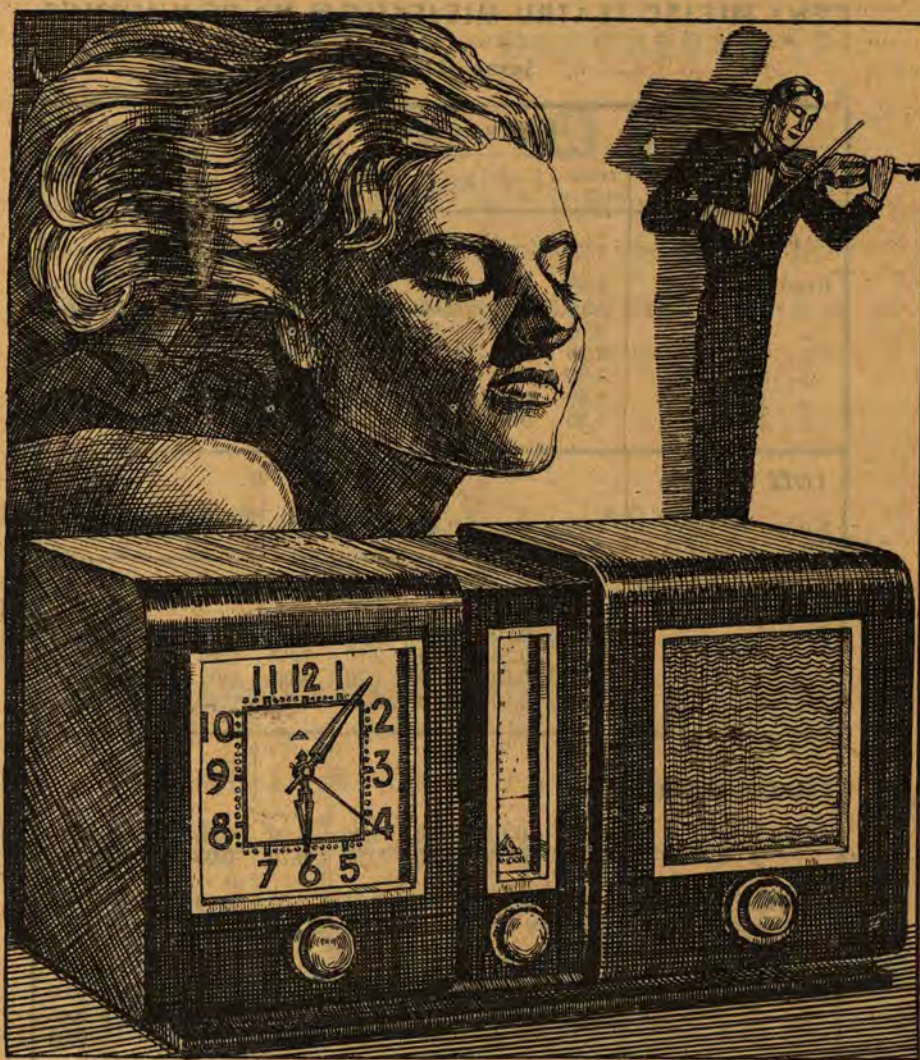
# CENY MIEJSC TEATRU MIEJSKIEGO NA POHULANCE

Sezon 1938/39 r.

Rodzaj miejsc.	Ceny normalne				Ceny popularne			
	zasa- dnicza	F. P.	P.C.K.	ra- zem	zasa- dnicza	F. P.	P.C.K.	ra- zem
<b>PARTER:</b>								
Rząd 1. . . . .	3.50	0.30	0.10	3.90	2.30	0.20	0.10	2.60
„ 2-3 . . . . .	3.10	0.30	0.10	3.50	2.00	0.20	0.10	2.30
„ 4-5 . . . . .	2.70	0.20	0.10	3.00	1.80	0.10	0.10	2.00
„ 6-7 . . . . .	2.20	0.20	0.10	2.50	1.60	0.10	0.10	1.80
„ 8-9-10 . . . . .	1.80	0.10	0.10	2.00	1.40	0.10	0.10	1.60
„ 11-12-13 . . . . .	1.60	0.10	0.10	1.80	1.10	0.10	0.10	1.30
„ 14-15 . . . . .	1.35	0.10	0.10	1.55	0.99	0.05	0.05	1.09
<b>ŁOŻE I PIĘTRA:</b>								
Kupon do łoża. . . . .	1.80	0.10	0.10	2.00	1.50	0.10	0.10	1.70
<b>BALKON I PIĘTRA:</b>								
Rząd 1. . . . .	2.20	0.20	0.10	2.50	1.70	0.10	0.10	1.90
„ 2-3 . . . . .	1.90	0.10	0.10	2.10	1.30	0.10	0.10	1.50
„ 4-5 . . . . .	1.50	0.10	0.10	1.70	1.00	0.05	0.10	1.15
„ 6. . . . .	1.10	0.10	0.10	1.30	0.90	0.05	0.05	1.00
<b>BALKON II PIĘTRA:</b>								
Rząd 1. . . . .	1.10	0.10	0.10	1.30	0.99	0.05	0.05	1.09
„ 2-3 . . . . .	0.80	0.05	0.05	0.90	0.70	0.05	0.05	0.80
<b>BOCZNE</b> . . . . .	0.65	0.05	0.05	0.75	0.55	0.05	0.05	0.65
<b>ŁAWKI:</b>								
Rząd 1-2 . . . . .	0.70	0.05	0.05	0.80	0.50	0.05	0.05	0.60
„ 3-4-5 . . . . .	0.60	0.05	0.05	0.70	0.40	0.05	—	0.45
„ 6-7-8 . . . . .	0.45	0.05	—	0.50	0.30	0.05	—	0.35
<b>STOJĄCE:</b> . . . . .	0.35	0.05	—	0.40	0.25	—	—	0.25
Ławki dla Strzel- ców (wojskowe).				0.20				0.20



Nowość na rok 1939!



# Vertex-Amfion 39

*najciekawszy odbiornik z zegarem  
elektrycznym i przesuwaną skalą*

JAN SAŁASIŃSKI, Wilno, Wileńska 25, tel. 19-01



## O uczuciu, rodzaju, Narocz i Wilji

Jednym z ważniejszych czynników rozwojowych języka jest uczucie. Pierwiastki emocjonalne decydują o powstawaniu całego szeregu wyrazów nowych, zwłaszcza zdrobniałych. Uniesieni uczuciem nazywamy chętnie Jana—*Jankiem*, *Janeczkiem* lub *Janulkim*, a Wandę — *Wandeczką*, *Wandusią* lub nawet *Wandolinką*. Ale nazwy geograficzne są w tym wypadku odporne: nawet najmiłsze naszemu sercu Korkożyszki lub Mejszagoła pozostaną na zawsze tylko *Korkożyszkami* i *Mejszagołą*. Wprawdzie słyszymy niekiedy spieszczenia w rodzaju następujących: „więc znowu jestem w kochanym *Wilenku*“, „cóż tam słyhać w *Warszawce*“. Wypadki takie należą jednak do rzadkości i zapewne nikt z nas nie mówił nigdy o *Krakówku*, *Poznamieczku* lub *Lwowusiu*.

Innym sposobem nadawania imionom miłych nam osób pewnego zabarwienia uczuciowego jest takie przekształcanie tych imion, że z męskich stają się one żeńskimi i vice versa. Napięcie uczuciowe jest więc motorem tej dziwnej metamorfozy, dzięki której Adam staje się *Adachną*, Halina — miłym *Halosiem*, Helena — drogim *Lukiem*. (Liczne przykłady w artykule Obrębskiej, *Język Polski* XIV, str. 65 i in).

Lecz nazwy geograficzne i w tym wypadku wychodzą obronną ręką z takich ataków uczuciowców: dziwolągami nie do pomyslenia byłyby dla nas *ta Lwów*, *pod Tczewią*, *w Przemyśli* itp. Nazwy bowiem geograficzne zachowują swój przez tradycję ustalony i uświęcony rodzaj i formy. Któż tę tradycję ustala? Przedewszystkiem ludność miejscowa z dawien dawna zasiedziała w danej okolicy, gdzie nazwy są przekazywane z ust do ust, z pokolenia w pokolenie. Dlatego tam, gdzie mamy do czynienia tylko ze stałymi mieszkańcami, nazwy geograficzne nie nastroczają przeważnie żadnych trudności. Inaczej jest w okolicach, ściągających wielkie rzesze ludności pozamiejscowej, jak turystów, kuracjuszków i innych sezonowych gości. Tu nazwy te są w niebezpieczeństwie, ulegają bowiem masowym przekształceniom i przeinaczeniom w ustach wiecznie śpieszących niedbaluchów, którym ostatecznie jest wszystko jedno, jak i co powiedzieć. Terenem takich ciągłych przekręcań były i są np. nazwy w Tatrach. (Odsyłam do przykładów zebranych przez Zborowskiego we „Wskazówkach do zbierania nazw geograficznych“).

Plaga ta dotarła również i do nas. Stoimy wobec dylematu: czy mówić za Janem Bułhakiem *ta Narocz*, czy za Sergjuszem Piaseckim i Kuratorjum Szkolnem (vide Schronisko nad Naroczem) *ten Na-*

*roc*. Sporu między tak miarodajnymi czynnikami nie można załatwić teoretycznie przy stoliku, lecz należy sięgnąć do tradycji językowej ludności polskiej, znającej nazwę *Narocz* z dziada pradziada. Ludność taką znajdujemy w dworach i miasteczkach, położonych w sąsiedztwie tego jeziora. I cóż stwierdzamy? Panują tu formy rodzaju męskiego, a więc *ten Narocz*, *do Narocza*, *nad Naroczem*, *w Narocz*. Musi to być dla nas wystarczające i jedynie miarodajne.

Ale teraz pytanie: skąd i jaką drogą rozszerzyły się masowo przez przybyszów używane formy rodzaju żeńskiego? Czyżbyśmy posiadali tak liczne rzesze ludzi, dla których najważniejszym motorem jest uczucie? W pewnych wypadkach bezsprzecznie tak. Ktoś używa formy *ta Narocz* i zaraz ma gotowe uzasadnienie: „bo tak jest ładniej“, „bo to do tego pięknego jeziora bardziej pasuje“, „bo tak mi się lepiej podoba“ i koniec. Tu należy powiedzieć jedno. Wolno p. Bułhakowi w romantycznych obrazach fotograficznych i słownych malować piękno Narocza, ale nie wolno mu w tem samem romantycznym uniesieniu zmieniać jego nazwy. Bo nazwa geograficzna to nie fotografia, którą można sobie dowolnie z prawej lub lewej strony przyciąć, tu rozjaśnić, tu przyciemnić.

Napięcie emocjonalne nie wyczerpuje jednak wszystkich zakusów na męskość Narocza oraz źródeł jego żeńskości. Nawet ludzie mało lub wcale nieromantyczni twierdzą, że musi być *ta Narocz*, bo... tak mówi miejscowa ludność białoruska. I tu jest najgrubsze rzeczowe nieporozumienie. Po pierwsze ludność białoruska jest dla nas niemiarodajna. Ma ona swoje przyzwyczajenia językowe, swoje tradycje białoruskie, a my swoje — polskie. I napewno ciż sami zwolennicy *tej Naroczy* nie będą od nas żądali, byśmy mówili *Wilnia* lub *Miensk*, bo tak jest w białoruskiem. Po drugie, i to jest najciekawsze, Białorusini nad Naroczem nie znają wcale nazwy *Narocz* ani w rodzaju męskim, ani żeńskim. Panująca wśród nich forma *Naroczca* (-e) jest rodzaju nijakiego z dalszą odmianą: *Naroczca*, *za Naroczczam* (-em), *u Naroczczy* (z normalną tu końcówką -y, por. np. *hliniszca* (-e)—*na hliniszczy*). Przypuszczam, że źródłem wszelkich nieporozumień jest właśnie ta ostatnia forma. Nazwy geograficzne w mianowniku są w mowie potocznej rzadko używane, bodaj że najczęstszą formą, jeżeli chodzi o jeziora, będą formy miejscownika. Dlatego przybysz z rozmów z wieśniakami i rybakami notował w pamięci najczęściej takie zwroty: *utapiu siu u Naroczczy*, *łowiać rybu u Naroczczy*, *na Naroczczy* itp., a nie zna-



jąc języka białoruskiego oraz odmiany w nim rzeczowników nijakich, skojarzył białoruską formę *na, u Narocz* z polskimi *na twarzy, w nocy* i na ich wzór dorobił sobie inne przypadki nazwy *Narocz* w rodzaju żeńskim<sup>1)</sup>.

Skoro już była mowa o uczuciu i o jego związku ze zmianą rodzaju *Narocza*, trzeba zaznaczyć, że odgrywało ono pewną rolę także w próbach wyjaśnienia nazwy tego jeziora. Z etymologjami *Narocza* spotkałam się dwukrotnie. Raz w prasie: w romantycznym, przepojonym uczuciem feljetonie porównywano masę wód *Narocza* do... *naręczy wód. Naręcz wód!* Poetycznie i ładnie, chyba jednak zbyt poetycznie. Napięcie uczuciowe uniosło autora za daleko. Nie możemy tego zestawienia uznać za słuszne. Innym razem słyszałam, jak jakiś miejscowy dowcipniś tłumaczył chciwym wiedzy przybyszom z Poznania, że *Narocz* znaczy po chińsku „wielka woda”. Dużo inwencji, ale mało prawdopodobieństwa. Jak dotąd, nie słyhać było o złotem niebezpieczeństwie nad *Naroczem*.

Zamiast więc sięgać do dalekiej nam chińszczy-

<sup>1)</sup> Jako przykład wzorowania się na języku białoruskim może nam służyć Witold Wróblewski, który opisując w r. 1883 *Narocz* i jeziora sąsiednie, nie tylko urabia formy żeńskie od nazwy *Narocza*, ale używa także obok siebie innych nazw w rodzaju nijakim lub żeńskim. Por. *Blado* lub *Blada*; *Miastro* lub *Miastra*—od *Miastry*, *nad Miastrą*; *Zanarocze* — *do Zanaroczy*. Pamiętnik Fizyograficzny t. III, str. 75 i n.

ny, sięgnijmy bliżej, do litewskiego. Upoważniają nas do tego nazwy innych wód w pobliżu *Narocza*. Przepiękne jezioro *Miadziol* ma z całą pewnością nazwę litewską, por. lit. *medelis* (drzewko), podobnie jezioro *Szwakszta*, por. lit. *švokšti* (szumieć: o drzewach) oraz strumyk wpadający do *Narocza* — *Skiemma*, por. lit. *skiemuo* (przestrzeń wolna pomiędzy dwiema warstwami osnowy). Litewskie pochodzenie zdradzają także niektóre inne okoliczne nazwy, np. wieś *Giryny*—lit. *girinas* (miejsce zalesione). Jeżeli chodzi o *Narocz* to jest on zapewne spokrewniony z lit. czasownikiem *nerti* (nurzać). Nazwy geograficzne o tym samym pierwiastku są częste na obszarach dziś lub ongiś litewskich. Por. np. *Naruciany*—jezioro w Republice Litewskiej mniej więcej 15 klm. od Trok oraz tej samej nazwy okolica szlachecka między jeziorami *Draganiszki* i *Łowie*, *Narucie* — wieś nad jeziorem *Czterwerć*. Pierwiastka tego dopatrują się językoznawcy także w litewskiej nazwie *Wilji* — *Neris*. Słowianie nie przejęli nazwy tej od Litwinów, chociaż występuje ona w naszych *Ponarach* i *Ponaryszkach*. *Ponary* to transpozycja lit. *Poneriai*, co oznacza dosłownie miejsca przylegające do rzeki *Neris* (por. pol. *Wisła* — *Powiśle*).

Dochodzimy więc do wniosku: największa rzeka i największe jezioro ziemi wileńskiej otrzymały nazwy, utworzone od tego samego pierwiastka. Pierwiastek ten jest zapewne identyczny z pierwiastkiem lit. czasownika *nerti* (nurzać).



Do  
artykulu obok



# Teorja i praktyka w Trokach i na Górze Zamkowej

(wywiad z p. konserwatorem W. Kieszkowskim)

Ubiegłe lato przyniosło wielkie zmiany w wyglądzie dwóch najpopularniejszych i najromantyczniejszych naszych zabytków. Co ruchliwi Wilnianie, zapędzający się w niedzielę „aż” do Trok opowiadali dzi-



rys. J. Maśliński.

WITOLD KIESZKOWSKI.

wy o starym zamku na jeziorze, a znów bardziej osiadłe mieszczychy przystawały na „Jerku“ gdy im z dnia na dzień niby na drożdżach urosła baszta na Górze Zamkowej. Nowe jakieś porządki nastąpiły w Wilnie, a że nastał i nowy konserwator, więc dokoła jego osoby wytworzyła się t. zw. atmosfera zainteresowania. Nic dziwnego! Przez długie lata mówiono nam, że nie wolno nic odbudowywać, że ostatni krzyk mody w tej szacownej dziedzinie każe tylko zabezpieczać, konserwować, — a tu raptem — restauruje się, a nawet rekonstruuje się. Żeby zaspokoić powszechną ciekawość udajemy się do jej głównego sprawcy.

Niestety, pan konserwator jest w sprawach osobistych bardzo lakoniczny. — Pochodzi z Kijowszczyzny, uniwersytet ukończył w Warszawie, przez szereg lat był asystentem w Zakładzie Architektury Polskiej politechniki warszawskiej, przez 2 lata — konserwatorem na województwa warszawskie i białostockie, od 1-go czerwca — Wilno i Nowogródek. Tyle. Trudno, przechodzimy do meritum sprawy. Pytanie brzmi:

— *Zmiany, o których tyle się mówi w miasteczku*







*muszą wynikać z odmiennej niż dotychczas teorii w sprawie konserwacji zabytków. Jakie jest stanowisko Pana Konserwatora wobec dylematu — konserwacja, czy rekonstrukcja?*

— Dylemat taki właściwie nie istnieje. Można mówić raczej o ewolucji poglądów i metod pracy. To co nazywa się rekonstrukcją nie jest czemś nowem w dziejach opieki nad zabytkami. Już wiek XIX znał restaurację t. zw. purystyczną. Dążąc np. do przywrócenia jakiejś budowli jej pierwotnego stylu usuwano z niej wszystko, co było nalotem (choćby wielkiej nawet wartości) epok późniejszych. Na to miejsce trzeba było oczywiście coś dać, a więc komponowano, dostrajano do tego „czystego“, nieraz bardzo problematycznego „stylu“. U nas np. oporzędzono w ten sposób katedrę we Włocławku (na gotyk), a podobnie w Płocku (na romańskość). Gdy przyszło zrozumienie, że taka ochrona historii jest jej okaleczaniem, dano spokój — wpadając w przeciwną krańcowość.

I dopiero wojna i zniszczenia wojenne zmusiły do rewizji poglądu, że należy konserwować stan istniejący, wymieniając co najwyżej części niszczone na nowe i mocne. Za przykład niech posłuży katedra w Reims. Czyż to piękne dzieło sztuki miało pozostać na zawsze jako dokument dewastacji, mimo, że z niezliczonej ilości rysunków, fotografii i planów można było odtworzyć z nieomylną pewnością stan pierwotny? Analogje mieliśmy i u nas. Po wojnie np. odbudowano kościół w Wiślicy. W Polsce zresztą warunki były specyficzne. Opieka nad pomnikami historii nie leżała wcale w interesie zaborców. Piękne budowle deformowano zamieniając na koszary, więzienia. Przywrócenie ich do stanu pierwotnego, użytkowego musiało być z konieczności rekonstrukcją. Przykład: piękny (I-sza połowa XVII w.) gmach Archiwum Miejskiego przy ul. Długiej w Warszawie, dawny Arsenał — rekonstrukcja z późniejszego więzienia wojskowego. Na podobny zabieg czeka Ujazdów (dawny pałac królewski), czeka Lublin (pałac królewski, obecnie więzienie) it. dalej i dalej. Tak więc rekonstrukcja jest częścią składową konserwacji. Rzecz oczywista, że aby nie wyrodziła się ona w kompozycję i fantazjowanie trzeba mieć wystarczające i absolutnie pewne dane o pierwotnym stanie zabytku.

*— Pan Konserwator wspominał o ewolucji metod pracy. Jak ta sprawa wygląda w zastosowaniu do Troki?*

— Zamek trocki jest doskonałą ilustracją konieczności stosowania częściowej odbudowy dla zabezpieczenia całości przed zniszczeniem. 1. — Ruiny oglądamy na zdjęciach są może bardzo romantyczne, ale przeczą względem statyki budowlanej. Jakieś resztki sklepienia nadokiennego, odarte z licówki, albo ściana, świecąca nagim mięszem muru wrażliwym na wpływy atmosferyczne, albo wyrwa, zwiększająca się z biegiem lat i rozsadzająca niejako pozostałe części baszty — wszystko to przetrwać może określone tylko lata. Żeby zatrzymać tam proces zniszczenia muszę zamurować wyrwę, oblicować mur, zrekonstruować wyszczerbione okno. 2. — Powiedzmy, że to się już wykonało. Powstała więc w baszcie np. swego rodzaju studnia, gdzie zbiera się woda deszczowa, a zimą zalega zlodowaciały śnieg. Żeby uchronić fundamenty należałoby teraz wykonać żmudne drenowanie przez, lub pod niemi. A chodzi nam nietylko o fundamenty! — W wielu miejscach zachowały się resztki np. gotyckich sklepien gwiaździstych: wsporniki, wiązki żeber. Co więcej, na poziomie I piętra części mieszkalnej przechowały się jeszcze szczątki cennych malowideł bizantyńskich z XV wieku. Aby je zabezpieczyć mało jest utrwalić tynk, na którym są wykonane: trzeba wybierać — albo osłonić je od deszczów szkłem, albo też wyciągnąć pełną konsekwencję z sytuacji i zrekonstruować całe sklepienie gwiaździste, na co mamy zresztą najzupełniej wystarczające dane.

O to właśnie chodzi, że nic tu nie trzeba dokomponowywać, wystarczy uzupełnić „ślady“, których ilość i charakter nie nasuwa żadnych poważnych wątpliwości. Te wszystkie „pachy“ po sklepieniach beczkowych, a wsporniki i żebra po gotyckich, szczątki ościerzy i parapetów, ślady przyczepień schodów i t. p., gdziekolwiek się zachowały, są — wobec jednorodnego charakteru budowli — stuprocentowo pewnymi wskazówkami do rekonstrukcji. Tem właśnie różni się dzisiejsze pojmowanie rekonstrukcji od dawnego, któreśmy nazwali „purystycznym“, że dziś wykluczamy wszelkie dokomponowywanie, wszelką dowolność. Jeśli np. zamurujemy wyrwę wbudujemy tam okno, to tylko wtedy, gdy mamy dostatecznie pewne dane, że okno tam było, czyli że nieuwzględnienie go byłoby fałszerstwem.

*— Jakież jest więc stan robót i jakie widoki na przyszłość?*

— W Polsce nie mamy prawie żadnego zamku obronnego w stanie mieszkalnym. Zachował się właściwie tylko zamek w Niedzicy (woj. krakowskie, na granicy Śląska). Troki należą niewątpliwie do najlepiej zachowanych. To że utraciły dach, że nie były użytkowane wynikało raczej ze zmięczenia „koniunktury“ tej miejscowości, niż ze stanu samej budowli. Teoretycznie uważam za możliwą rekonstrukcję z a m k u mieszkalnego całkowitą, do dachu włącznie. Są na to materiały, np. pewien wysoce miarodajny sztych w zbiorach prywatnych...

—?!...

— Pomińmy tę sprawę. Narazie zostawiliśmy zew-



nętrne ściany zamku w stanie uzyskanym przez zabiegi konserwatorskie poprzedników, z tem, że w prawem skrzydle uzupełniliśmy część muru i zrekonstruowaliśmy okna. Wewnątrz natomiast odkopano z tej strony piwnice i odsłonięto przejścia, oraz klatkę schodową wewnętrzną (w grubości muru), która nadaje się do rekonstrukcji. W lewym skrzydle analogiczne piwnice zostały już zasklepione. Odkopuje się też z tej strony i pogłębia się fosę, przy czem w trakcie robót odsłoniły się szkarpy muru zamkowego. Jeśli chodzi o przedzamcze, to jedna z baszt stosunkowo nieźle zachowana wykończona została do wysokości pierwszego piętra i przykryta drewnianym stropem (niewidocznym z zewnątrz. To zabezpieczy ją od opadów, gdyż woda odpływać będzie t. zw. „żygonami“. Niestety górnej kondygnacji rekonstruować już nie możemy. Przy baszcie sąsiedniej wykonane zostały prace zabezpieczające, a położona między nimi brama wjazdowa będzie zasklepiena na zachowanych śladach. Odkopana została również trzecia baszta — będzie uzupełniona w granicach istniejących śladów. Mury obwodowe zostaną oblicowane.

— *Jak widać, zamek trocki przestanie być obiektem czytelnym tylko dla znawców, bo każdy laik, nie wysilając już zbytnio wyobraźni, będzie mógł coś nie coś w nim zrozumieć. Wzrost atrakcyjności ma również znaczenie turystyczne...*

— Dotknęliśmy bardzo ważnego problemu, mianowicie strony dydaktycznej. Są kraje — Włochy przede wszystkim — gdzie te rzeczy są dobrze rozumiane. Tam rozbita kolumna nie leży już wśród gruzów — postawiono ją na bazie jak stała niegdyś, architravów również nie magazynuje się w składach muzealnych, tylko montuje się je na właściwe miejsce. Dobrze jest, jeśli wycieczki szkolne, laicy i przygodni turyści nie stają wobec zabytków jak wobec zagadek. Ten взгляд także bierzemy dziś pod uwagę. Właściwie restaurowany zabytek powinien tłumaczyć się sam i bezpośrednio przemawiać do wyobraźni widza.

— *Jak Góra Zamkowa w Wilnie?*

— O, tu jest zupełnie inna sprawa. Góra Zamkowa jest już tylko ruiną i tak zostać musi. Ma ona dla miasta wartość legendy, możnaby powiedzieć — herbu i te względy, emocjonalno-pejzażowe skłoniły nas do wykonania nadbudówki. Chodziło poprostu o to aby dominująca nad miastem baszta bardziej odpowiadała swej nazwie. Wykonaliśmy tę kondygnację na podstawie przypuszczeń raczej, że musiała wyglądać tak samo jak i dolna, ale pewności tej nie mamy. To też wykonaliśmy ją zupełnie inaczej, niż rekonstrukcje trockie — nie starając się wcale imitować dawnego budulca. Zrąb i strop tej kondygnacji jest wykonany w żelbetonie (nb. — żelbetonu użyto również przy rekonstrukcji w Reims), a oblicowane cegłą o wymia-

rach dzisiejszych( dawna była znacznie większa), kolorem jedynie dopasowaną do starego muru. Tak więc charakter późniejszy i dekoratywny tej nadbudówki unaocznia się łatwo każdemu obserwatorowi.

Odmierna jest również wartość zabytkowa Góry Zamkowej. W przeciwieństwie do Trok, przechowała ona historię nie jednej ale kilku epok, do głębokiego średniowiecza sięgając. Tych nawarstwień kulturowych, będących przedmiotem badań nie chcemy przesłaniać, to też sklepień nie rekonstruujemy. Praca nasza polega tu głównie na odsłonięciu zachowanych murów i na zaakcentowaniu ich charakteru, oraz topografii całości, a więc np. dziedzińca zamkowego, czy starego wjazdu, którego wylot znajdował się na stoku północnym. Jeśli został jeszcze mur obwodowy od strony północnej; linię nadbudowy znaczy ciemniejsza smuga.

— *Panie Konserwatorze, pewnym rozgłosem cieszą się odsłonięte właśnie mury obronne Warszawy. Czy można tu mówić o analogjach?*

— Mury te leżą jak wiadomo w dzisiejszym śródmieściu, a sąsiedztwo dzielnic zabudowanych w sposób miejski domaga się z konieczności budowli, że tak powiem „zdrowych“. To też w pracach tamtejszych było sporo rekonstrukcji. Ogólnie można powiedzieć, że tak ze względu na zastosowane metody, jak też i dla wartości zabytkowo-pejzażowych stolicy jest to jedna z donioślejszych prac konserwatorskich.



Objaśnienie zdjęć: 1. Z prac na Górze Zamkowej w Wilnie (str. 14). 2. Zrekonstruowana baszta. 3. Zamek trocki według akwareli Szotmy (ze zbiorów L. Uziębły). 4. Widok ruin w r. 1929. 5. Stan obecny. 6. Fragment zamku mieszkalnego (widać z lewej wiązkę żeber, a we framudze ślady malowideł bizantyńskich). 7. Rekonstrukcja okna drugiej kondygnacji. Zdjęcia 1, 2 i 7 — S. Paszkowskiego, 3 i 4 — J. Borowskiego, 5 — J. Bułhaka, 6 — ks. Malukiewicza.





ROMANTYENOSÉ

– »Słuchaj dziewczeczko!«  
Ona nie słucha –  
próżno Mickiewicz  
udaje zucha.

Wzruszony, blady  
czytą ballady,  
przynosi kwiatki  
i czekolady.

– »Spójrzysz Marylo :  
»mam nowy krawat...«  
A płocze dziewczę  
nie zerknie nawet.

– »Kocham namiętnie,  
»myślę o ślubie!«  
Ona nie rzeknie  
nawet – »To lubię«

– »Daj mi choć zwiędły  
»listek cyprysa,  
»żebym mógł o tem  
»potem napisać,

»żeby Kallenbach  
»albo Chmielowski  
»mogli wyciągnąć  
»ciekawe wnioski.«

Milczy Maryla,  
nie chce Maryla.  
Daremnie Adam  
talent wysiła.

– »Ha! puchu marny  
»znam ja twój zamiar  
»od Mickiewicza  
»lepszy Puttkamer!!!

»Honorów bańka  
»i złota blaski  
»tak ciebie nęcą – !  
»Nie chcę twej łaski.

»Już chyba pójdę!...«  
Ona : »Idź sobie.«  
»Pójdę i sobie  
»coś złego zrobię!«

»Napiszę „Dziady“  
»Schiller wystawi!  
»Wszystkie sekrety  
»nasze wyjawię!

»Ze swego serca  
»teraz mnie wygoń,  
»ale co o tem  
»napisze Pigoń?

»Napisze Pigoń,  
»Boy odbronzowi,  
»przyniesie hańbę  
»twemu domowi.

»Na tamtym świecie  
»spamiętasz jeszcze,  
»co to pogardzić  
»miłością wieszczą!«







TADEUSZ  
CIESZEWSKI

## STAWIAM NA FILM

Wrażenia i refleksje z Niemiec



„Comoedia“ nie chce bynajmniej stać się pismem dla szczupłej garstki specjalistów. Uwzględniając obszernie sprawy sztuki teatralnej i literatury nie zamierza na nich poprzestać. ...Plastyka... fotografika, turystyka, film — oto sprawy, których nie ominie dziś żaden człowiek kulturalny. („Comoedia“ Nr. 1, Słowo od Redakcji).

Właśnie film. Ominąć go się nie da w żaden sposób, tak samo, jak prasy lub radja. Dawno już wyszliśmy z okresu traktowania tej sztuki w cudzoziemiu, z pobłażaniem udzielanem jarmarcznej budzie cyrkowej. Film jest ważkim elementem nowoczesnej kultury, składnikiem współczesnej cywilizacji, czynnikiem, który ma przed sobą bogate możliwości i wielką przyszłość.

Stawiam na film.

Stawiam dlatego, że z czystym sumieniem można stwierdzić, iż sztuka ta wyzwala się z pęt szablonu, dyletantyzmu, ignorancji. Kino szuka swego własnego wyrazu, tworzy własną estetykę, walczy. Dużo jeszcze trudów będzie kosztowało oczyszczenie tej całej stajni augiaszowej, zwanej dziś branżą filmową, ale t. zw. gust publiczności nie daje się już tak łatwo dalej otumaniać. O ile jeszcze ulica amerykańska, jak zresztą każda inna, roni łzy na cukierkowo-sentymentalnym kiczu lub zachwycą się po raz tysięczny i pierwszy przygodami wygolonego Tarzana, odradzającego się wciąż z popiołów poprzednich swych wcieleń, o tyle publiczność kulturalniejsza ma zdecydowany pogląd na wartość i możliwości kina. To jest wielka pomoc, a jednocześnie wielkie dla tandetnej produkcji filmiarskiej niebezpieczeństwo.

Niesposób generalizować i schematyzować całej

masy zagadnień, wiążących się z kinem. Należy raczej mówić o wiedzy filmowej, o filmologii, pojętej na bardzo szerokich podstawach.

\* \* \*

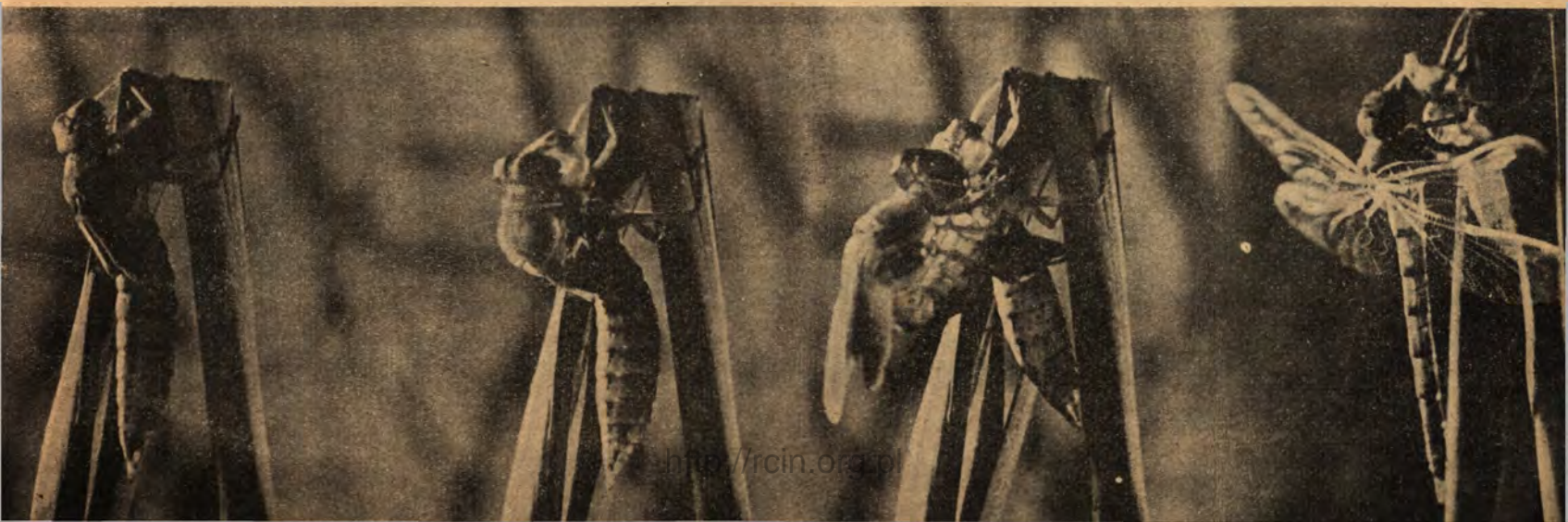
Krajem, który buduje nowy film są dziś między innymi Niemcy. Bardzo mało mamy z różnych powodów styczności z pracą, jaka się na polu filmu w Trzeciej Rzeszy dokonuje. Z miejsca kwalifikujemy wszystko, co się po tamtej stronie zachodniej granicy dzieje jako propagandę. Oczywiście, że genialny mistrz nowoczesnej propagandy minister Goebbels nie marnuje możliwości kina. Wykorzystuje tę broń znakomicie. Może się to nam nawet w wielu punktach nie podobać. Ze swego jednakże stanowiska Niemcy mają swoją rację.

Zainteresować wszakże nas powinno co innego, a mianowicie sposoby, jakimi Niemcy swój film organizują.

Miałem niedawno możliwość przyrzeć się temu z bliska i obiektywnie muszę stwierdzić, że Niemcy z pasją dążą do postawienia filmu na płaszczyźnie sztuki, wiedzy — nie zaś dyletanckiej szmiry. Szlachetna dążność do ukulturalnienia kina rzuca się w oczy usuwając na plan dalszy wszystko inne.

Ameryka ze swym Hollywood dała filmowi potężną machinę techniczną, Francja inwencję i talenty (niestety ostatnio degenerujące się w mętnej tematyce), Niemcy zaszczepiają mu kulturę. Chcą tę kulturę drogą przez kino, a więc łatwym i wdzięcznym sposobem wprowadzić w masy.

Film jako wiedza został ujęty w drobiazgowo przemyślany plan Akademii Filmowej. W cieniistych alejach Babelsbergu pod Berlinem powstaje olbrzymi







— *Zachwyceni wdzięcznym ruchem głowy młodej kókiety, albo lekkim rytmem piłek rzuconych w powietrze przez sprawne ramiona, albo mistrzostwem pływaków tryumfujących nad wrogim żywiołem wolumy — to jest piękne, to jest poezja! Taśma filmowa pokazuje nam dziś prawdy niedostępne dotąd ludzkiemu oku. Uczy nowej poezji — pokazując metamorfozę owadów, budowę szkieletu żywego człowieka, przypominając tłumowi eleganckich spacerowiczów, że właściwie chodzą na gwoździach jak hinduscy święci. (Zdjęcia „Ufy“).*

gmach, gdzie znajdują pomieszczenie sale wykładowe, laboratorja, studja doświadczalne. Reżyser, aktor, operator, technik, dekorator, producent — wszyscy przejść muszą szkołę teoretyczną i praktyczną. Zamiłowania i talenty są to wkłady poważne, lecz one same nie mogą zdecydować o wynikach żmudnej pracy na codzień. Taka idea przyświecała założycielom Akademii. W listopadzie b. r. rozpoczynają się wykłady.

Istnieje pozatem już od paru lat w Berlinie i na prowincji rodzaj szkoły filmowej dla publiczności. Jest to właściwie klub czy związek bywalców kinowych (a kto dziś nie jest bywalcem kina?). Systematycznie odbywają się w takich klubach referaty i dyskusje na tematy, związane z filmem. Publiczność dzieli się nawet swemi spostrzeżeniami, wypowiada życzenia, uczy się patrzeć na film. Prasa i krytyka nie wypełni tak dobrze luki między widzem a twórcą, jak bezpośrednie zetknięcie się tych dwóch stron ze sobą.

Poco się to robi? Łatwo zrozumieć, że dla utowrania filmowi drogi do społeczeństwa.

Całkiem osobny i odrębny dział tworzy w Niemczech t. zw. film kulturalny. Sama nazwa jest nieco ogólna i przez to trochę niezrozumiała. Można jed-

nak ją przyjąć jako umowny, konwencjonalny oznacznik na określenie tych wszystkich filmów, które nie są rozrywkowe, fabularyczne.

Jeżeli film rozrywkowy wymaga prócz talentu i artyzmu także wiedzy, to film kulturalny na wiedzy się opiera. Parwenjusz nie wykręci tu nic choćby miał do dyspozycji najbogatsze atelier i najlepsze środki techniczne. Nad filmem kulturalnym czuwają najtężsi fachowcy, znający prócz swego zawodu także tajniki pracy filmowej. Jest takich ludzi dużo.

Odwiedziłem w „Ufie“ atelier pewnego starszego pana nazwiskiem Junghans. Jest to przyrodnik z zamiłowania i wykształcenia. Kręci on filmy biologiczne, ślęczy nad nimi przez długie dnie i noce, by pokazać potem na ekranie przez kilkanaście minut rosnącą trawę, rozwijające się z poczwarki owady, wnętrza ula, dno rzeki lub morza. Wolfram Junghans pracuje z uporem manjaka, strzeże swych „aktorów“ zazdrośnie, ledwie godzi się pokazywać wnętrza schowanych za szklaną szybą skrzynek. Napozór tematy jego filmów są nieatrakcyjne, poprostu nudne. Wystarczy jednak zobaczyć je na ekranie, by zmienić zdanie.

W „Reichsfilmkammer“ czyli w nadrzędnej państwowej instytucji filmowej skupiają się wszystkie ni-





ci wiodące do różnych panów Junghansów. „Kultur-film“ bowiem, to nie tylko obraz biologiczny. To także nastrojowy reportaż z nisz starego kościoła, pełnego rzeźb i fresków, to także studjum resorowania samochodu, produkcji stali, wycieczka brzegami Renu, wykład o mapie warstwowej, o muzyce średnio-wiecznej, o wszystkim, co może zainteresować każdego kulturalnego człowieka i co rzeczywiście wszystkich interesuje i bawiąc uczy.

Aparat filmowy i mikrofon wędruje nad brzeg morza między rozkrzyczaną czeredą ptaków, na boisko sportowe, podpatruje inteligentnie, trafia w sedno. Efektowne zdjęcia promieniami Rentgena wykrywają niespodziewane możliwości kina nie tylko dla medycyny lecz i dla filologii. Pozwalają w krótkim obrazie zilustrować cały wykład o fonetyce opisowej, pokazują jak powstaje dźwięk i mowa ludzka.

Rzetelna i uczciwa robota, wspaniałe opracowanie tematów i umiejętne podejście popularyzatorskie —

oto zalety niemieckich filmów kulturalnych. Są one obecnie bezsprzecznie najlepsze w świecie.

Skorzystano z tego bogatego materiału także i w szkolnictwie. „Reichstelle für den Unterrichtsfilm“ czyli szkolny departament filmowy opiera się wprawdzie na bardzo u nas niepopularnym fundamencie, bo na składkach uczniowskich (20 fenigów kwartalnie), lecz to daje 8 milionów marek rocznie i umożliwia produkcję filmów pomocniczych do wszystkich kompletnie przedmiotów od geografii zaczynając i na matematyce kończąc.

Nasze próby w tym zakresie są tylko drobną kropką w porównaniu z tym, co się robi w Niemczech.

Myśląc poważnie o dźwiganiu filmu polskiego i wykorzystaniu jego walorów społeczno-kulturalnych, trzeba koniecznie zakrzętać się dokoła stworzenia planowo zorganizowanego filmu kulturalnego (w najszerszym zrozumieniu tego terminu).

Na ten film stawiam.

## POMYŚL, CZY NIE WARTO

### „COMOEDIA”

### PRENUMEROWAĆ?

#### NOWY DYRYGENT KLUBU MUZYCZNEGO

Mieliśmy już możliwość usłyszeć przez radio kilka pięknych koncertów symfonicznych, prowadzonych przez p. Kazimierza Hardulaka, jednego z najmłodszych, ale najbardziej obiecujących uczniów prof. Bierdiajewa. P. Hardulak ukończył konserwatorium warszawski z odznaczeniem, jako kapelmistrz, jednocześnie studiował w klasie operowej, a przedtem, w konserwatorium im. K. Szymanowskiego we Lwowie uzyskał dyplom jako skrzypek.

Młody muzyk prowadził już koncerty nie tylko w Filharmonji i Polskim Radjo, ale i zagranicą — w r. ub. w Berlinie dyrygował na koncercie polsko-niemieckim, w kwietniu zaś r. b. — na analogicznym koncercie w Sztokholmie. Pozatem występował jako tenor-solista w Sztokholmie i Tallinie.

Zaangażowany przez Klub Muzyczny na sezon koncertowy do Wilna, deklaruje młody dyrygent chęć współpracy z młodymi kompozytorami polskimi (dowody słyszeliśmy przez radjo: choćby wykonane ostatnio „Epitafium“ T. Szeligowskiego). Głównym zadaniem programem sezonu będzie wykonanie w Wilnie cyklu — oprócz IX-ej — symfonij Beethovena.



Rys. J. Maśliński.

KAZIMIERZ HARDULAK





fol. St. Turcki.

Po dłuższej przerwie przypomniała się Wilnu w nowym, starannie opracowanym programie. Dochód z występu przeznaczyła artystka na cele Towarzystwa Przeciwgruźliczego, stając się przedmiotem owacji publiczności. Wypełniona po brzezi widownia gorącymi okłuskami powitała moment wręczenia kwiatów i upominków przez młodzież wiejską. Niemniej gorąco domagano się „bisów“, które doskonale dysponowana diseusa dopełniła miłego wieczoru.

## Z TEATRU NA POHULANCE

### NAJBLIŻSZE PREMIERY.

Po *Marielli* wchodzi na afisz głośne widowisko Zygmunta Nowakowskiego *Galazka rozmarynu*, dawno oczekiwane w Wilnie, a cieszące się nieprzerwanym powodzeniem na wielu już scenach polskich. Na ten zasłużony sukces złożył się zarówno realistyczny, prześycony zmysłem humoru talent popularnego pisarza, jak też i trafny wybór tematu z niedawnej a tak atrakcyjnej epoki walk o niepodległość, jak wreszcie i doświadczenie teatralne autora (b. aktora i dyrektora teatru), który znając doskonale prawa sceny dążył świadomie do stworzenia widowiska łączącego wartości dramatyczne z walorami widowiska popularnego, to jest typu, którego brak daje się tak bardzo odczuwać w naszym repertuarze. Reżysersko przygotowuje „Ga-

łazkę rozmarynu“ Ziemowit Karpiński. Dekoracje i kostiumy — Jan i Kamila Golusowie.

Następną skolei premjerą będzie debiut scenopisarski artystki zespołu wileńskiego, Walentyny Alexandrowicz. *Jej syn*, jest to sztuka psychologiczno-społeczna. Wystawiona w czerwcu w Krakowie spotkała się z uznaniem prasy i publiczności.

Jako pozycja rozrywkowa przewidziana jest sztuka węgierska *W perfumerji* S. Laszlo.

Prapremjera w Wilnie! — Będzie nią sztuka Jerzego Ostrowskiego — *Bogoburcy*, nagrodzona na konkursie Polskiej Akademii Literatury. Autor, którego łączy z Wilnem okres odbytej tu pracy, zdecydował się oddać prapremjerę teatrowi wileńskiemu.



## REPERTUAR I FREKWENCJA.

Wystawiona na inaugurację *Tekla* spotkała się, jak wiadomo, po bardzo gorącym przyjęciu na premierze, z pewną rezerwą publiczności na przedstawieniach dalszych. Jednakże cykl przedstawień zorganizowanych przekonał ostrożnych i frekwencja poprawiła się znakomicie. Doskonałe wyniki dał objazd: — w Lidzie nadkomplet, w Nowej Wilejce dwa komplety.

Podobna „polityka“ publiczności wobec teatru powtórzyła się i przy *Subrette* — pomyślna premiera, potem nieufność i rezerwa, aż wreszcie stopniowy wzrost frekwencji, do kompletów na sali.

Ale co ważniejsze, ta sama psychologia publiczności zaznaczyła się i w związku z *Wyzwoleniem*, które przyjęte bardzo nieufnie, najpierw trafiło do młodzieży (uczniowie szkół zgłaszali się z prośbą o powtórny przydział biletów), a stopniowo „rozkreśliło“ i ustanko-

wanych obywateli miasta. Podkreślić trzeba ważną rolę wieczorów zakupionych przez organizacje. One to właśnie ułatwiają psychicznie wybranie się do teatru niezdecydowanym, a widać, że ci którzy już pójdą nie żałują tego potem, skoro przedstawienia następne, już nie zorganizowane, wykazują wzrost frekwencji. To znaczy, że ci którzy poszli ze swą organizacją, wynieśli z teatru dobre wrażenie i stali się w pewnym sensie zachętą dla swych znajomych. I tak np. popołudniówka niedzielna, a więc przedstawienie najlepiej dające wyraz opinii prywatnej — odbyła się przy przepelnionej widowni! Najwyższa jak dotąd kasa sezonu — właśnie na *Wyzwoleniu!* W sumie wraz z przedstawieniami szkolnemi *Wyzwolenie* szło dotąd 26 razy; przewidziane są jeszcze cztery przedstawienia, a więc razem 30! Cyfry te mają swą wymowę.

## „SCENA POLSKA”

Wzrost zainteresowań teatralnych jest dziś w Polsce faktem niewątpliwym. Żeby jednak to pomyślnie zjawisko kulturalne przyniosło pełny pożytek trzeba czegoś więcej jeszcze niż rozmów towarzyskich o teatrze, a nawet wzrostu frekwencji na widowniach. Trzeba mianowicie pożywnej treści i do tych rozmów i dobrej orientacji w tem co się widzi i słyszy w teatrze. Bo teatr jest instytucją społeczną, bo teatr i publiczność urabiają siebie nawzajem. Niestety, do niedawna jeszcze brak było w Polsce wydawnictwa, w którym ogniskowała by się świadoma myśl teatralna. Stała to nasza bolączka! Mieliliśmy wielkich aktorów i wspaniałe zrywy poszczególnych teatrów, ale zdobywszy te roztopiały czas — w niepamięci, w zniekształcającej legendzie. Nowym ludziom i nowym wysiłkom nie przyświecała mądra, krytycznie oświetlona i sama nastęrczająca wnioski z doświadczeń poprzedników — tradycja. A przecież oba fascynujące nas teatry — francuski i rosyjski, są żywą ilustracją olbrzymiej wartości tradycji: przedewszystkiem w kształtowaniu harmonijnego artystycznie, a więc pełnego ekspresji stylu teatru narodowego.

O styl taki walczy dziś coraz więcej ludzi w Polsce i bez przesady można powiedzieć, że w tej właśnie atmosferze i przez tych ludzi została wznowiona „Scena Polska“, kwartalnik, organ Zw. Artystów Scen Polskich. Pierwszym bodźcem był pamiętny, oczyszczający atmosferę zjazd ZASP-owy w r. 1936, gdy nareszcie zamiast narzekać na warunki pracy i kołatać o udogodnienia zajęto się sprawami ściśle artystycznymi. Dokumentem tej budującej spowiedzi generalnej i artystycznego rachunku sumienia, w którym wzięli udział czołowi ludzie teatru polskiego, stała się właśnie „Scena Polska“, wydana jako pamiętnik zjazdu. Dziś mamy już dwa następne, „normalne“ numery, a trzeci ukaże się niebawem.

Te dwa solidne tomy uradują każdego amatora teatrologii, ale i u szerszej publiczności śmiało mogą liczyć na popyt i uznanie. Pokażnego formatu, ładunkiem swym przekraczając normy objętościowe przeciętnej powieści, a o połowę tańsze od niej (cena tomu zł. 3,50, w prenumeracie — 3 zł.) powinny rychło stać się towarem księgarskim konkurującym z tak np. modnymi dziś powieściami biograficznymi, dziełami

popularyzatorów naukowych, a nawet i magazynami kulturalnymi. I to nastąpi niewątpliwie, jeśli właściwa propaganda poinformuje publiczność dostatecznie, o co chodzi.

To nie są frazesy. Znaczną część każdego tomu „Sceny Polskiej“ istotnie czyta się jak powieść biograficzną, czy popularne dzieło naukowe. Oto np. sporo miejsca poświęcono Ryszardowi Bolesławskiemu, znakomitemu reżyserowi, który niestety lepiej został oceniony zagranicą, w Rosji i Hollywood, niż w ojczyźnie. Piszą o nim: Leon Schiller, T. Hiż, R. Ordynski. (Wiąże się z tem przez personalja artykuł K. Stromen-gera o teatrze Szymanowskiego). — Przecież to jest poza wszystkim innym wspaniałym materiałem historyczno-obyczajowy, nie pozbawiony nawet pikantności anegdoty, ilustrującej ludzi, poglądy, epokę. A obok tego wspomnienia senjora aktorstwa polskiego, Józefa Śliwickiego o występach Meiningerów (tuż zaraz rzeczowy artykuł Brumera o tej karcie dziejów teatru), albo wspomnienia z teatru krakowskiego, dalej znów, w dziale „Materiały“ — listy Modrzejewskiej, listy B. Dawidsona, dalej jeszcze — G. B. Shawa przedmowa do „Szczygłego zaułka“.

To są przykłady (nie wyczerpane!) „biografistyki“, a oto „popularyzacja naukowa“ — St. Głowackiego artykuły o tańcu widowiskowym w średniowieczu i renesansie, albo o narodzinach tańca widowiskowego, Al. Hertza — rozprawy socjologiczne o teatrze i aktorze i t.d., oraz cały szereg tematów historycznych, omawianych pod kątem ich aktualności w teatrze dzisiejszym. Atmosferę pełnej temperamentu publicystyki wnoszą artykuły Leona Schillera w sprawie teatru monumentalnego, a ostatnio, na aktualny temat: opery.

Nie wyczerpuje to nawet połowy omawianych numerów, gdzie systematycznie i z myślą uogólniającą omawia się aktualności teatralne (rozumiane szeroko, a więc i taniec i festiwale muzyczne) w kraju i zagranicą, gdzie najpoważniejsze pióra zwięźle recenzują ostatnie nowości polskiej i obcej literatury teatrologicznej, gdzie ewidencjonuje się i omawia krytycznie wystąpienia w sprawach teatralnych na łamach czasopism i prasy — obejmując w ten sposób całokształt tej dziedziny życia kulturalnego.



Jeszcze raz podkreślić trzeba, że czy to dzięki doborowi współpracowników, czy też umiejętnej inspiracji redaktora Tymona Terleckiego, cały ten, imponujący zaiste, aparat nie przygniata i nie obciąża atmosfery pisma, które — nie odstępując na chwilę od najpoważniejszych ambicji — jest prawdziwie „czytelne“, atrakcyjne i żywe. Obyż rozwijało się wytrwale, trafiając stopniowo do wszystkich, którzy rozumieją lub chcą zrozumieć istotę teatru, oraz jego doniosłe możliwości w naszym życiu społecznym.

*Z wieczoru Hanği Ordonówny.*

*fol. St. Turski.*

*Wszystkie zdjęcia wykonane z widowni.*



## DWA KONKURSY

### I

**Komisja Teatru Szkolnego w Krakowie, istniejąca przy Kuratorjum Okręgu Szkolnego Krakowskiego, ogłasza konkurs na utwór dramatyczny.**

#### Warunki:

- 1) Utwór winien być oryginalny, dotąd nie grany i niedrukowany nawet we fragmentach, wypełniająca czas normalnego przedstawienia teatralnego.
- 2) Temat utworu i jego rodzaj (komedia, dramat, tragedia) dowolny.
- 3) Utwór ma być przeznaczony dla młodzieży Szkół Średnich w wieku od lat 15—19. Pożądane utwory o problemach przede wszystkim współczesnych, pobudzające młodzież do rozważań i pogłębiania poruszanych zagadnień.
- 4) Utwory przepisane na maszynie (jednostronnie), zaopatrzone godłem autora, należy nadsyłać pod adresem: „Kuratorium Okręgu Szkolnego w Krakowie, Wydział Szkół Średnich — Konkurs Dramatyczny”. Do utworu dołączyć należy zapieczętowaną kopertę, zaopatrzoną tem samym godłem, a zawierającą nazwisko i adres autora.
- 5) Termin nadsyłania utworów upływa dnia 1 czerwca 1939 r. W wypadkach wątpliwych rozstrzyga data stempla pocztowego.
- 6) Przewiduje się dwie nagrody w łącznej wysokości 3.000 zł (trzy tysiące). Ponadto przyznane będą wyróżnienia. Sądowi przysługuje prawo ustalenia wysokości nagród. Sztuki nagrodzone wejdą w repertuar przedstawień szkolnych w Teatrze Miejskim im. J. Słowackiego w Krakowie, ewentualnie także w innych teatrach, przyczem autor otrzymuje należną tantiemę.
- 7) Imienny skład Sądu Konkursowego podany zostanie w osobnym zawiadomieniu. Należać do niego będą: przedstawiciele Kuratorium Okr. Szkolnego Krakowskiego, Dyrekcji Teatru Miejskiego im. J. Słowackiego w Krakowie, sfer literackich i pedagogicznych.

### II

**Redakcja miesięcznika lit.-art. „Nasz Wyraz“ ogłasza konkurs na utwór sceniczny.**

#### Warunki konkursu:

1. Sztuki nadesłane na konkurs nie mogą być przedtem wystawione ani publikowane (w całości lub części).
2. Rozmiary utworu nie mogą przekraczać 100 stron maszynopisu.
3. Utwory należy nadsyłać pod godłem wraz z zamkniętą kopertą zawierającą nazwisko i adres autora, oraz 3 kupony konkursowe.
4. Termin nadsyłania utworów ubiega z dniem 31 marca 1939 r. Ogłoszenie wyniku konkursu nastąpi w n-rze majowym „Naszego Wyrazu“.

#### Nagrody:

- I-sza — wystawienie w Teatrze „Cricot“ i nagroda pieniężna.
  - II-ga — wystawienie w Teatrze akademickim i nagroda pieniężna.
- Ponadto utwory wyróżnione będą drukowane w całości lub w części w „N. Wyrzacie“.
- Jury zastrzega sobie prawo nie przyznania nagród, w razie nienadesłania wartościowych utworów.

#### Do jury zostali zaproszeni:

Ignacy Fik, Józef Jarema, Zygmunt Leśnodorski, Wojciech Natanson i Władysław Woźnik. Z redakcji „Naszego Wyrazu“: Władysław Bodnicki i Helena Wiewłowiejska.





# Szanse Opery w Wilnie

*Ze sfer muzycznych Wilna otrzymaliśmy następujący artykuł. (Red).*

Zorganizowane ostatnio w teatrze „Lutnia“ przedstawienia operowe poruszyły opinię wileńską — niestety w sensie negatywnym. Już dawno nie czytaliśmy tak ostrych recenzyj, jakie się ukazały w prasie, szczególnie po przedstawieniu „Trawiatty“.

Przy tej sposobności należy poruszyć ważny dla Wilna problem opery. Uprawnia nas do tego w pierwszej linii głód na tego rodzaju widowiska, głód, który przejawia się przedewszystkiem w ogromnej frekwencji na spektaklach operowych, a następnie w nieustannych wołaniach Teatru Szkolnego o przedstawienia operowe. Lukę — jaką się odczuwa wskutek braku opery w Wilnie, należy przeciw w jakiś zorganizowany sposób zapłacić! Tego wymaga dobro kultury polskiej, która tu w Wilnie z wiadomych powodów ma szczególnie obowiązek przejawiania się w sposób jaknajbardziej i manifestowania swojej obecności przez środki działające na szerokie masy. \*Widowisko operowe niewątpliwie do tego rodzaju środków należy.

Przy organizowaniu widowisk operowych w Wilnie należy się liczyć przedewszystkiem: z niemożliwością uruchomienia imprezy stałej nawet w formie krótkiego staggione operowego. Możliwe są tylko przedstawienia sporadyczne (2—3 widowiska miesięcznie). Taki stan wymaga pewnej odmiennej organizacji, polegającej w pierwszej linii na określeniu granic posiadanych możliwości.

W tym zakresie możemy tu w Wilnie uruchomić wcale przyzwoitą orkiestrę pod kierownictwem zdolnego kapelmistrza i zmontować wcale przyzwoitą ekipę ról drugoplanowych w postaci młodych śpiewaków, z których niejedyn może zadowolić gusta nawet wybrednej publiczności. Gorzej przedstawia się sprawa obsady stanowisk czołowych. Te siły muszą być wprowadzane z poza Wilna, co oczywiście ogromnie zwiększa koszty. Najgorzej przedstawia się sprawa chóru operowego, którego w Wilnie niema. Organizacja takiego chóru w ramach wileńskiej rzeczywistości jest najeżona trudnościami nie do pokonania. Wyjście jest jedno: repertuar musi obejmować dzieła operowe bez chóru, względnie takie, w których chór niema trudnych partyj do śpiewania. W orbitę zainteresowań powinny wejść zatem stare opery polskie Elsnera, Karpińskiego; włoskie typu „opera seria“ (zawsze bez chóru) itp. Sprawa nie wygląda tak źle, gdy się zważy, że np. arcydzieło Mozarta „Don Juan“ — nie ma wcale chóru.

Chodzi teraz o miejsce realizacji widowisk operowych. Ten ciężar może wziąć na swe barki tylko teatr na Pohulance z tego prostego powodu, że jest teatrem subsydjowanym i jako taki może zupełnie zrezygnować z dochodu, traktując widowiska operowe wyłącznie pod kątem widzenia pewnej działalności kulturalnej. Na to ten teatr stać. Jest to ważny moment o tyle, że na czoło wysunie się tu zatem siłą rzeczy czynnik artystyczny, a nie finansowy, jak to z konieczności ma miejsce w „Lutni“.

Nie chcę odgrywać tu jakiejś roli suflera wobec dyr. Kielanowskiego, którego *pozytywny* stosunek do tego zagadnienia nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ale w tych szlachetnych zamiarach nie wolno Dyr. Kielanowskiego pozostawiać jego własnym siłom i inicjatywie. Potrzebne tu jest nie tylko mozolne poparcie; tego udzielamy zawsze i wszędzie, w dodatku z gestem wielkopańskim (nie ponosząc zresztą najczęściej żadnej odpowiedzialności). Wydaje mi się, że w pierwszej linii potrzebne staje się *zorganizowanie opinii* tych czynników, które w tej sprawie mają coś do gadania. Na Zarządzie Miejskim leży obowiązek poruszenia tego zagadnienia i żądania od Komisji Teatralnej przedyskutowania tej sprawy i opracowania (zarówno pod względem zespołowym, jako też finansowym) całego zagadnienia. Referat taki mógłby służyć za podstawę dla dyrektora teatru oraz dla subsydjujących go czynników rządowych i miejskich. Tego rodzaju czynna postawa wszystkich czynników powołanych do opieki nad polską sztuką operową stałaby się moralnym drogowskazem nie tylko dla dyrektora, ale również dla zdezorientowanej publiczności, karmionej często drugo- i trzeciorzędnym towarem. Atmosfera zaufania w stosunku do dyrektora Teatru Miejskiego i udzielenie oficjalnego kredytu w postaci powierzenia mu organizacji widowisk operowych, pozwoliłaby wileńskiej publiczności na należyte zorientowanie się, gdzie leżą prawdziwe możliwości artystyczne. Złe przedstawienia muszą być zwalczane, stwarzają bowiem wrażenie, jakoby nieład i nieporządek były charakterystyczne dla sztuki. W ten sposób działają *destruktywnie* na widza, który poczyna z wolna lekceważyć samą sztukę, uważając ją za rzecz łatwą i niewymagającą większego wysiłku. Hodowanie zaś mas w tem przeświadczeniu może się stać objawem groźnym nie tylko dla teatru, ale i dla kultury artystycznej wogóle.

TADEUSZ SZELIGOWSKI.

## WYSTAWA POŚMIERTNA LWA DOBRZYŃSKIEGO

30.X. b. r., w sali Kasyna Oficerskiego w Wilnie otwarcie wystawy prac utalentowanego malarza i grafika, wychowanka Wydziału Sztuk Pięknych U. S. B., który, ceniony przez kolegów wyróżniany przez profesorów, zmarł tragicznie u progu twórczości samodzielnej. Reprodukujemy fotografię pracy dyplomowej.





# E W A R Y S T C I U R L I K

## (Materiały do monografii)

Ewaryst Ciurlik, naczelnik wydziału Biura Owocowego, umarł na posterunku, do ostatniej chwili wierny obowiązkom. Umarł tak niespodzianie, jak niespodzianym może być atak serca. Było to po akademii. Siedząc przy kolacji w kawiarni „Wstęp i wypij“, nieboszczyk omawiał z referentem format nowych sztachetek. Właśnie podnosił do ust kawałek cielęciny w śmietanie, kiedy naraz zbladł, zamrugał powiekami i usunął się na podłogę, żółto malowaną. Nawet nie zdążył wykrzyknąć swego ulubionego „hip, hip! hurra!“ ...Utknął na „hip, hip“..

### 1. GARSTECZKA DAT.

Świetlanej pamięci Ewaryst Ciurlik ujrzał światło dzienne wieczorem, dn. 27 kwietnia 1895 roku. Już w dziesięć lat potem skończył dziesiąty rok życia.

W roku 1920 przeszuchał kurs wikliniarstwa. Piętnastego listopada tegoż roku przeczytał do piątego rozdziału pierwszą w swoim życiu książkę. Nazajutrz — jako początkujący ideowiec — został wciągnięty do akcji oświatowej.

5.VII.1928 roku zachorował — pierwszy w powiecie! — na anginę pectoris.

16.IX.1938 roku przez lekkomyślność nie uklonił się aspirantowi Lebidzie. (Jakby przeczuwając potrzebę zdania rachunku ze spraw doczesnych, w ostatnich dniach przed śmiercią bardzo tego żałował i sam surowo oskarżał siebie przed swoim przyjacielem, członkiem Obrony Porzeczki Polskiej, Karcz-Karczemskim).

19.VIII.1935 roku został przedstawiony żonie pana wizytatora.

W dniu 11.XI.1937 roku — jako w dniu radosnej rocznicy odzyskania naszej państwowości od sinych fal Bałtyku po chmurne szczyty Tatr — po przykładowym wzięciu udziału w uroczystej akademii — umarł.

### 2. WIELKIE SERCE.

W Jarząbkach Cienkich przy ul. Kierowej pod n-rem siódmym mieszka staruszka-żebraczka. Na każde żądanie może szeroko opowiedzieć o otrzymanej od Ewarysta Ciurlika jałmużnie, składającej się z kubka wcale świeżych poziomek i dziesięciu groszy w czterech dwugroszówkach. Jak dziś stoi przed staruszką-żebraczką i mówi: „Macie tu kubek wcale świeżych poziomek i dziesięć groszy, którym brakuje tylko jednej dwugroszówki“...

Dla cierpiącego na przewlekłe zapalenie stawów syna Agatki zawsze znalazł słowa ukojenia: „Nie biduj, jeszcze niejednemu to się przytrafi!“

Był czułym przyjacielem młodych wdów, a już szczególnie wzruszające w tych barbarzyńskich czasach dowody przywiązania okazywał swoim przełożonym!

### 3. SZCZEGÓŁY Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

Bardzo lubił: jajka na miękko (tylko wrzucić do wrzątku i już wyjmować!), kurczaki w kompcie, barszczyk z uszkami, sardynki z konjakiem, krem wiśniowy (z kilkoma kropelkami rumu, lub jeszcze lepiej: z olejkim figowym).

Przed udaniem się na spoczynek zawsze płukał nogi w wodzie, bielonej mlekiem.

Ukochał nad wszelkie pojęcia krawat w zielone groszki i żółte zygzaczkki.

### 4. AFORYZMY I ZŁOTE MYŚLI.

Nieodżałowany naczelnik Biura Owocowego przez całe życie należał, w miarę możliwości, do ludzi głęboko myślących. Chętnie dzielił się z nami owocem swoich nocy nieprzespanych, spędzonych na dumaniu u boku wiernej żony. Głęboko, na dnie jestestwa, tkwi w nas miód mądrości, wylanej z jego ust.

Nieraz nam przypominał:

„Państwo, proszę państwa, to jest państwo prawdziwe, a nie byle jakie ot, sobie!“

„Po wiośnie przychodzi lato!“

„Tydzień ma siedem dni“.

„Zanadto przyjemnie!“

„Zapanbrat!“

„Zasuwka“.

„Zan“.

„Ze“ ...

### 5. ZAPALNICZKA.

Zapalniczka benzynowa, wartości, mniejwięcej, trzech złotych i dwudziestu groszy. Wewnątrz wata i dwie sprężynki. Zapalniczka należyście ostemplowana. Nic wymowniej nie może świadczyć o sumieniu obywatelskiem Ewarysta Ciurlika!!!

### 6. TUŻUREK Z ANGIELSKIEGO MATERJAŁU.

Czarny tużurek, nieco już podnoszony. Butonierka naderwana. W tużurku tym zmarły witał za życia pana dymisjonowanego podsekretarza stanu. Zasużył chyba nasz naczelnik na uznanie, jeśli pan dymisjonowany podsekretarz stanu poklepał go po lewym ramieniu. W odnośnym miejscu wyżej wymienionego tużurka znajduje się właśnie dostojny ślad ręki pana dymisjonowanego podsekretarza stanu.

Szwagier woźnego Biura twierdzi, że nieboszczyk naczelnik pewnego razu — w kilka dni po tem pamiętnym wydarzeniu — idąc do ubikacji — tak powiedział o tużurku: „Oto świadek mego najwspanialszego tryumfu!“

Miejmy nadzieję, że przyszły autor monografii „świadkowi najwspanialszego tryumfu“ Ewarysta Ciurlika właściwe miejsce wyznaczy!

JAN HUSZCZA



**OSTATNIA KSIĄŻKA**

**MARJANA ZDZIECHOWSKIEGO**

# » W obliczu końca «

Wydanie II uzupełnione.

**SPIS ROZDZIAŁÓW.**

I. Masonja jej cele i ideały. II. Jerzy Cziczerein. III. Czerwony terror. IV. Tragiczna Europa. V. Związki satanizmu w Polsce. VI. Jak upadają cywilizacje. VII. „Przyszłość narodu“. VIII. Testament księcia Eugeniusza Trubeckiego. IX. Antyromantyzm i antygermanizm. X. Z powojennej psychologii Niemiec. XI. Św. Franciszek z Asyżu a czasy nasze. XII. Fryderyk Ozanam. XIII. Postać królowej Jadwigi na tle czasów naszych. XIV. Pesymizm jako siła twórcza. XV. O okrucieństwie. XVI. Stary Kraków.

**DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH**

**ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY  
NA ILUSTROWANĄ KSIĘGĘ MONOGRAFICZNĄ**

POD TYTUŁEM

## „FERDYNAND RUSZCZYC“ ŻYCIE I DZIEŁO

Dzieło to będzie stanowiło obszerną i wykwinną księgę in quarto o zajmującej treści i zawierać będzie około 300 stronic tekstu i przeszło 100 plasz ilustracyjnych. Ilustracje będą duże, całostronicowe, jednobarwne i wielobarwne, odbite na zwartym papierze kredowym i wykonane pieczołowicie podług oryginalnych płócien i rysunków artysty.

Tekst książki będzie tłoczony w dwóch kolorach na wytwornym papierze bezdrzewnym z ozdobami graficznymi samego artysty.

**DZIEŁO P. T. „FERDYNAND RUSZCZYC“** wyjdzie z druku i zostanie wysłane prenumeratorom w pierwszej połowie 1939 r. Cena w przedpłacie, pomimo kosztowności wydawnictwa, wynosi tylko piętnaście złotych, z przesyłką pocztową 16 zł. Po wyjściu z druku, cena księgarska dzieła, będzie podwyższona do dwudziestu pięciu złotych.

**ADRES DLA PRZESYŁANIA PRZEDPŁATY:**

Bank Gospodarstwa Krajowego, Oddział Wilno. Wilno, ul. Śniadeckich. Konto czekowe P. K. O. 700060.

**ADRESY DLA ZASIĘGAJĄCYCH INFORMACJY:**

1. Komitet Uczczenia Pamięci Ferdynanda Ruszczyca, Wilno, Uniwersytecka 3. Dziekanat Wydziału Sztuk Pięknych U. S. B. 2. Jan Bułhak, Wilno, ul. Orzeszkowej 3.



75  
790 999/2010/11



**Bank Związku Spółek Zarobkowych**